

**Georges Simenon**  
**Bracia Rico**  
**Przełożyła Irena Szymańska**

Trtvl oryginału

jjs FRERES Rico

Okładkę projektowa! MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Wydanie I

© 1952 by Georges Simenon

1

Jak zwykle obudziły go kosy. Nie miał im tego za złe.

Na początku złościł się, zwłaszcza że nie był jeszcze zaaklimatyzowany i upał nie dawał mu zasnąć przed drugą, trzecią rano.

Zaczynały równo ze wschodem słońca. A tu, na Florydzie, słońce wschodziło zniecka. Nie było wcale świtu.

Niebo od razu nasycalo się złotem, wilgotne powietrze rozbrzmiewalo ptasimi głosami. Nie wiedzial, gdzie maja gniazdo. Nie wiedzial nawet, czy to na pewno sa kosf. Tak je nazywal od dziesieciu lat, ciagle obiecujac sobie, ze sie dowie, i zawsze o tym zapominajac. Lois, mala Murzynka, nadawala im jakas nazwe, ktorej nie potrafilby wymowic. Wlksze niz kosy na polnocy, mialy dwa, trzy barwne pierka. Najpierw pojawiala sie jedna parka i na murawie w poblizu okna rozpoczynala swoja swiegotliwa rozmowe.

Eddie, jeszcze nie calkiem rozbudzony, zdawal sobie f sprawe, ze slonce juz wzeszlo, i sprawialo mu to pewna ^ przyjemnosc. Zaraz nadlatywal y inne, Bóg wie skąd, chy- jf

ba z pobliskich ogrodów. Nie wiadomo dlaczego jego ogród właśnie wybrały sobie na poranne pogawędki. Dzięki kosom świat stowa) się bardziej rzeczywisty, son mieszał się z jawą. Morze było spokojne. Dawało o sobie znać lekkim Szmerem fali, która wezbrawszy ledwie dostrzegalnie, niezbyt daleko od brzegu, opadała na piasek połyskliwą pianą, tocząc setki muszli.

Poprzedniego wieczoru zadzwonił do niego Phil.. Nigdy nie czuł się całkiem pewnie, kiedy Phil miał do niego interesy. Telefonował z Miami. Zaczął od rozmowy o człowieku, którego nie wymienił z nazwiska. Phil rzadko wymieniał nazwiska przez telefon.

— Eddie?

— Tak?

— Tu Phil.

Nie mówił ani jednego zbytecznego słowa. Taką już przybrał pozę. I trzymał się jej, nawet jeśli dzwonił z kabiny telefonicznej jakiegoś baru.

— Wszystko tam u ciebie w porządku?

Wszystko w porządku — odpowiedział Rico.

Dlaczego Phil robił znaczące pauzy po każdym najbardziej niewinnym zdaniu? Nawet sam na sam z nim miało się przez to wrażenie, że nie ufa rozmówcy, podejrzewa go, że coś przed nim chce ukryć.

— Jak twoja żona?

— Dobrze, dziękuję.

— Żadnych kłopotów?

— Żadnych.

W sektorze Eddiego Rico nigdy nie było kłopotów.

«— Posyłam ci tam jednego chłopaka, jutro rano.

Nie pierwszy raz.

- L»jpiej, żeby nie wychodził za dużo. I żeby nie zachciało mu się przenieść gd\*ie indziej.

— ■ Dobrze.

— Jutro chyba przyjedzie tu Sid.

-- Tiik?,,

- Może będzie cię chciał zobaczyć,

Zapowiedź nie była ani alarmująca, ani tak znowu niezwykła. Ale Rico nie mógł przywyknąć do sposobu bycia Bostońskiego Phila.

Nie zasnął już głęboko, zdrzemnął się tylko, dalej słysząc śpiew kosów i szum morza. Z drzewa w ogrodzie oderwał się orzech kokosowy i spadł na trawę. Zaraz p tern Babe zaczęła się ruszać w pokoju obok, którego drzwi zostawiano na noc uchylone.

Jego najmłodsza córka nazywała się Lilian, ale starsze od razu zaczęły na nią wołać Babe. Nie podobało mu się to. U siebie w domu nie znosił przydomka. Ale na dziewczynki nie było rady i wszyscy w końcu poszli ich śladem.

Babe zaraz będzie wiercić się i nucić, jakby chciała ukołysać się do snu. Wiedział, że jego żona w sąsiednim łóżku też się już obudziła. Tak było każdego ranka. Babe miała trzy Jata. Jeszcze nie mówiła. Tylko kilka przekreślonych wyrazów. Ale była najładniejsza z-calej trójki, wyglądała jak laleczka. . •

— To się może zmienić z dnia na dzień — powiedział lekarz.

Czy naprawdę tak sądził? Rico nie wierzył lekarzom Nie ufał im prawie tak jak Philowi.

Babe gaworzyła. Za pięć minut, jeśli ktoś do niej nie wejdzie, zacznie płakać.

Rico nigdy prawie nie musiał budzić żony. Nie otwierając oczu słyszał, jak wzdycha, odrzuca prześcieradło, sta-

■

wio stopy na dywanie i przez chwilę siedzi na brzegu łóżka, przeciągając się i przecierając twórz, zanim sianie po szlafrok. Znwsze uderzała go w tym momencie fala zapachu jej ciała, zapachu, który bardzo lubił. Właściwie był człowiekiem szczęśliwym.

Zachowywała się cichutko, na palcach przechodziła do pokoju Babe i ostrożnie zamykała za sobą drzwi. Domyślała się, że mąż nie śpi, ale tak już się utarło. Zresztą po jej wyjściu przeważnie znów zasypiał. Nie słyszał, jak tamte dwie, Krystyna i Amelia, z kolei wstawały w swoim pokoju, bardziej oddalonym. Nie słyszał już kosów. Jeszcze przez sekundę? myśl jego krążyła koło Bostońskiego Phila, który dzwonił do niego z Miami, a potem Eddie zagłębił się jak w poduszko w rozkoszny poranny sen.

Lois na dole przygotowywała śniadanie dla dziewczynek. Dwie starsze, dwunastoletnia i dziewięcioletnia, hałasowały w swojej łazience. Jadły śniadanie w kuchni, potem na rogu ulicy będą czekać na szkolny autobus. Duży żółty autobus zajeżdżał za dziesięć ósma, Czasem Eddie słyszał zgrzyt hamulców, czasem nie. O ósmej Alicja cichutko otwierała drzwi i w pokoju rozchodziła sir; woń ł: auty.

— Bddie, już ósma.

Pierwszy łyk pił jeszcze w łóżku, potem stawiała filiżankę na nocnym stoliku Kszła do okien, żeby rozsunąć firanki. Ale i tak nie było widać, co dzieje się na zewnątrz. Za firankami były jeszcze żaluzje, których jasne płytki przepuszczały tylko drobne pasemka słońca.

— Dobrze spałeś?

— Tok.

Jeszcze się nie kąpała. Miała gęste, ciemne włosy i bardzo białą skórę. Dziś włożyła niebieski peniur, w którym było jej do twarzy.

Cesała się, kiedy wszedł do łazienki. Te wszystkie banalne- codziennie gesty działały na niego kojąco. Mieszkali w pięknym, całkiem nowym domu, olśniewająco białym, w najelegantszej dzielnicy Santa Ciara, między laguną a morzem, o parę kroków od lokalnego Klubu Ziemi i plaży. Rico nadał rnu nazwę, z której był zadowolony; „Powiew Morza”. Ogród co prawda nie był duży, w tej okolicy ziemia była bezcenna, ale koło domu rosło jednak kilkanaście drzew kokosowych i na murawie wznosiła się; gładka, srebrzysta kolumna palmy królewskiej.

— Pojedziesz do Miami?

Kąpał się. Łazienka była naprawdę imponująca, ściany wyłożone bladozielonymi kafelkami, w tym samym kolorze co wanna i umywalka, wszystkie akcesom chromowane. Najbardziej cenił sobie prysznic, oddzielony szklanymi drzwiami w metalowej ramie; widywał takie tylko w największych hotelach.

— Nie wiem jeszcze.

, Wczoraj przy kolacji powiedział Alicji:

— Phil jfst w Miami. Może będę musiał się z nim spotkać.

Do Miami nie było daleko. NiewieJe ponad dwieście mil. Jazda samochodem była nieprzyjemna, pusfa drogą prowadziła przez bagna w duszącym upale. Najczęściej leciał samolotem.

Nie wiedział, czy pojedzie do Miami, Wspomniał o tym na wszelki wypadek. Golił się, podczas gdy żona za joga plecami szykowała z kolei kąpiel dla siebie. Była dość pulchna. Nie za bardzo. Tyle że nie mogła kupować gotowej konfekcji. Miała niezwykle gładką skórę. Kiedy golił

się, zerkał na' nią czasem w lustrze i nie sprawiało mu to przykrości.

Nie był jak inni. Zawsze wiedział, czego chce. Wybrał ją jako młodziutką dziewczycis? z pełną świadomością. Prawie wszyscy grzeszyli przez nieodpowiednie żony.

On też miał skórę białą i delikatną i jak Alicja bardzo ciemne włosy. W szkole w Brooklynie niektórzy koledzy próbowali przeżywać go Czarnuchem. Szybko im to wybił z głowy.

'— Chyba będzie upał.

— Tak.

— Wrócisz ha obiad?

— Nie wiem.

Ciągle patrząc w lustro, zmarszczył nagle brwi i zaklął z cicha. Na policzku ukazała się kropla krwi. Używał maszyny do golenia i nie zaciął się prawie nigdy. Czasem tylko zaczepiał, o brodawkę na lewym policzku i zawsze psuło mu to humor. Skaleczeniem nie przejąłbv się tak bardzo. Ta brodawka, która, kiedy miał dwadzieścia lat, była wielkości główki od szpilki, stopniowo urosła do rozmiarów ziarnka grochu. Była ciemna i owłosiona. Eddie umiał po niej przejechać maszynką tak, żeby jej nie zadrasnąć. Dzisiaj mu się nie udało. Poszukał w apteczce ałunu. Teraz przez kilka dni brodawka będzie co dzień krwawić przy goleniu. Wydawało mu się, że ta krew różni się od zwyczajnej krwi. Zagadnął na ten temat swojego lekarza. Nie lubił lekarzy, ale radził się ich przy najdrobniejszej dolegliwości. Nie ufał im, zawsze podejrzewał, że- go okłamują, i stara! się przyłapać ich nfi niekonsekwencjach.

— Gdyby była płytsza, zdjąłbym ją jednym cięciem lancetu. Ale wrasta głęboko i zostałyby blizna^

Czytał gdzieś, że znamiona tego typu mogą okazać się rakowate. Na samą myśl o tym robiło mu się słabo.

— Jest pan pewien, że to nic groźnego?

— Absolutnie.

— Na pewno nie rak?

\*— Ależ skąd! Mowy nie ma.

Ale nie rozproszyło to jego obaw. Zwłaszcza że lekarz dorzucił:

— Jeśli pan chce, to dla świętego spokoju mogę wziąć mały wycinek i posłać do analizy.

Nie zdobył się na to. Był przeczulony. Ciekawe, nawet jako chłopiec nie bał się bijatyki, ale brzytwy, ostre narzędzia zawsze tak na niego działały.

Drobny incydent przy goleniu zdenerwował go, głównie dlatego, że uznał to za zły omen. Tym niemniej kończył toaletę z właściwą sobie skrupulatnością. Był skrupulatny. Czuł się dobrze, kiedy wiedział, że jest czysty, schludny, że ma błyszczące włosy, świeżą jedwabną koszulę, starannie wyprasowane ubranie. D<va razy tygodniowo robił sobie manikiur i masaż twarzy.

Słyszał samochód zatrzymujący się przed sąsiednią willą. potem przed „Powiewem Morza”; wiedział, że to poczta. Nawet nie podnosząc żaluzji widział, jak to się odbywa: listonosz wysuwa rękę przez okno wozu, otwiera skrzynkę na listy, wkłada pocztę, zamyka skrzynkę i jedzie dalej.

Wszystko przebiegało zgodnie z codziennym rytuałem. Był gotów nai czas. Alicja wkładała suknię. Zszedł pierwszy, żeby ze skrzynki stojącej na chodniku przed bramą wyjąć dzisiejszą pocztę. Stary pułkownik z sąsiedniej willi, w pasiastej piżamie, robił dokładnie to samo; wy- v mieniali niewyraźne ukłony, chociaż nigdy ze sobą nie • rozmawiali.

W skrzynce była prasa, różne rachunki i jeden lisi. Poznał od kogo po rodzaju papieru i charakterze pisma. Kiedy usiadł przy stole, obsługująca go Alicja spytała:  
Od matki?

- Tak.

Jedząc czytał list. Matka pisała zawsze ołówkiem, na papierze z pupeterii, jakie sprzedawała w swoim sklepie. Papeterie składały się z sześciu kartek papieru listowego i sześciu kopert w różnych kolorach: seledynowym, różowym, błononiebieskim; kiedy kurtka była zapinana do końca, nie brała innej, ale ciągnęła Ust na drobnych skrawkach, które się akurat znalazły pod ręką.

Drogi Józefie,

Tak został ochrzczony. Kiedy miał dziesięć czy jedenaście lat, kazał się nazywać Eddio i wszyscy znali j;o pod tym imieniem, tylko jedna matka nadal upierała się przy Józefie. Irytował się i prosił ją, ale to było ponad j-j siły.

Już bardzo dawno nie miałam od ciebie wiadomości i mam nadzieję, że mój list znajdzie cię w dobrym zdrowiu, a także twoją żonę i dzieci.

Matka nie lubiła Alicji. Zaledwie ją znała, widziała ją tylko dwa czy trzy razy, ale nie lubiła jej. Dziwna kobieta. Jej listy nie były łatwe do odczytania, bo chociaż urodziła się w Brooklynie, mieszała włoski i angielski, stosując w jednym i drugim języku swoistą ortografię.

Tutaj wszystko idzie, jak zawsze. Stary Lama, ten co mieszkał za rogiem, umarł tu zeszłym tygodniu 10 szpitalu. Miał bardzo piękny pogrzeb, bo to był zacy człowiek i mieszkał w naszej dzielnicy przeszło osiemdziesiąt lat. Jego synowa przyjechała z Oregnnn, mieszka tam z mężem, ale mąż nie mógł odbyć takiej podróży, bo dopiero miesiąc temu ampvto:ano mu nogę. Przystojny mężczyzna, krzepki, ma zclrdwic pięćdziesiąt pięć lat. Zranił się fiarzędziem ogrodniczym i zaraz wdała się gangrena.

Podnosząc głowę Rico widział Irawnik przed domem, drzewa kokosowe i duży «płacheć migotliwego morza w przerwie między białymi murami. Z równą dokładnością mógł wywołać w pamięci miejsce, skąd pisała matka: ulicę brooklyńską, sklepik z cukierkami i wodą sodową, tuż koło dużego składu warzywnego, który odprzedała po śmierci męża, a w którym Eddie się urodził. W pobliżu przechodziła linia naziemnego mutra, Widać je było z okien, podobnie jak stąd morze, i słyszało się w regularnych odstępach czasu stukot wagonów, rysujących się na tle nieba.

Mała Józefina uryszła za mąż. Na pewno ją pamiętasz, takie maleństwo, które wzięłam do siebie, kiedy jej matka umarła.

Przypominał sobie rngliicio nie jedno, ale dwoje czy troje dzieci, które przygarnęła.

Zawsze w jej listach było parę stron poświęconych wyłącznie sąsiadom, ludziom, o których od dawna nawet nie

myślał. Pisała głównie o śmierciach i chorobach, czasem o nieszczęśliwych wypadkach lub o chłopcach 7, sąsiedztwa, jeśli któraś aresztowała policja. Biedaczek. nic miał szczęścia — litowała się.

Wreszcie dopiero przy samym końcu pojawiały się sprawy poważne, te, dla których w istocie zabrała się do pisania listów.

W końcu upadł do mnie w zeszły piątek.

Wyglądał jak mumiola.

Gino był jednym z dwóch braci Eddiego. Eddie, najstarszy, miał teraz trzydzieści osiem lat, Gino trzydzieści sześć, i nie byli do siebie podobni. Eddie był raczej skłonny do otyłości, może nie gruby, ale korpulentny! Gino, przeciwnie, zawsze był chudy, z rysami o wiele bardziej wydatnymi niż pozostali dwaj bracia. Jako dziecko wydawał się wątły. I teraz jeszcze nie sprawiał wrażenia człowieka silnego.

Przyszedł się pożegnać, bo tego samego wieczoru wyjeżdżał do Kalifornii. Podobno zostanie tam przez pewien czas. Wcale się to nie podoba. Jak się kogoś takiego jak on wysyła na zachód, to zawsze jest niedobry znak.

Próbowałam go pociągnąć za język, ale wiesz, jaki on jest, ten twój brat.

Gino nie był żonaty. Nic? interesował się kobietami. Nigdy w życiu nikomu się nie zwierzał.

Spytałam go, czy to z powodu śledztwa

i specjalnej komisji. Tużaj dużo się o tym

mówi, rzecz jasna. Z początku myślano, będzie tak, jak zawsze, że przesłuchają kilku świadków i skończy się na niczym. Wszyscy byli pewni, że rzecz jest załatwiona. Ale coś się musiało stać, nie wiadomo co, bo prokurator okręgowy i policja trzymają to w absolutnej tajemnicy. Jest plotka, że ktoś zaczął sypać. Wiadomo, że nie Gino jeden musiał stąd zniknąć. Któryś z wielkich szefów nagle wyjechał z Nowego Jorku i gazety nawet o tym pisały. Na pewno czytałaś.

Nie, nie czytała. Kto wie, czy nie chodziło tu o Sida Kubikę, o którym Phi! wspominał przez telefon.

Wyczuwa! niepokój w liście matki. Brooklyn był zaniepokojony. Nie bez racji zdenerwował się podczas wczorajszej rozmowy

z Philem.

Niestety nigdy nie wiadomo dokładnie, o co właściwie chodzi. Trzeba zgadywać, wyciągać wnioski z drobnych faktów. które pojedynczo niewiele znaczą, a rozpatrywane razem nabierają wagi.

Dlaczego wysłano Gino do Kalifornii, gdzie teoretycznie nie miał nic do roboty?

Do niego tutaj też ktoś przyjeżdża. Ma się zjawić dziś rano i zgodnie z instrukcjami nie będzie mu wolno się oddalać.

Czytał sprawozdania z posiedzeń Komisji Śledczej w Brooklynie. Zajmowała się podobno sprawą Carmme'a, którego zabito przed El Charro, w samym centrum Fulton Avenue, o trzysta metrów od ratusza.

Upłynęło już pięć miesięcy, od kiedy Carmine dostał pięć kul w piersi. Porcja nie wpadła na żaden poważniejszy ślad. Normalnie powinni już dawno odłożyć sprawę do akt.

Eddie nie wiedział, czy jego brat Gino maczał w tym palce. Zgodnie z regułą nie powinien był uczestniczyć w akcji, do ulicznych rozpraw nie bierze się ludzi z tej samej dzielnicy.

Czy to wszystko ma związek z telefonem Phila? Bostoński Phil nie trudziłby się bez powodu. Każde jego posunięcie jest celowe i przez to właśnie jest tak groźny. Jeśli gdzieś go wysyłano, oznaczało to zwykle, że coś tam nie gra. Wielkie przedsiębiorstwa, jak Standard Oil czy rozgałęzione banki, mają takich ludzi do specjalnych poruczeń, zjawiających się w jakiejś okolicy tylko wtedy, kiedy wielcy szefowie czują, że sprawy przybrały zły obrót.

Phil był człowiekiem w tym stylu i przybierał odpowiednie pozy. Dawał do zrozumienia, że zna sztabowe sekrety, i zachowywał się tajemniczo.

Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałam poruszyć już w poprzednim liście. Nie zrobiłam tego, bo wtedy były to tylko pogłoski. Myślałam zresztą, że może Tony napisał do ciebie albo napisze, bo zawsze przecież bardzo cię szanował.

To był najmłodszy z braci Rico, terasz trzydziestotrzyletni, który mieszkał z matką dłużej niż Eddie i Gino. Oczywiście był jej ulubieńcem. Brunet jak Eddie, podobny trochę do niego, ale ładniejszy, z większym wdziękiem. Eddie nie miał z nim bezpośrednich kontaktów od przeszło roku.

Od jego pobytu w Atlantic City ubiegłego lata wiedziałam, że coś się święci. Wyjeżdżał często, nie mówiąc dokąd, i domyślałam się, że chodzi o kobietę. A teraz od trzech miesięcy nikt go nie widział. Różni ludzie pytają mnie o niego, i nie tylko z pustej ciekawości. Nawet Phil, który odwiedził mnie, niby zobaczyć, jak mi się wiedzie, rozmawiał ze mną wyłącznie o Tonym. Przed trzema dniami Karen, taka dziewczyna z sąsiedztwa, nieznasz jej, chodziła kiedyś, już dawno, przez parę tygodni z twoim bratem, zaczęła mnie wprost: „Pani Julio, wie pani; że Tony się ożenił?” Wyśmiałam ją.

A tymczasem to chyba prawda. I chodzi

o dziewczynę, którą spotkał w Atlantic City, zupełnie obcą, jej rodzina nie jest stąd ani nawet z Nowego Jorku, tylko mieszka gdzieś w Pensylwanii.

Nie wiem dokładnie dlaczego, ale jestem niespokojna. Znasz go. Wiesz, że miał dziewcząt na pęczki i wydawał się nieskory do ożenku. Dlaczego nikomu nic nie powiedział? Dlaczego nagle tyle ludzi dowiaduje się o jego adres? •

Musisz zrozumieć, co mam na myśli, kiedy mówię, że się niepokoję. Coś się dzieje i chciałabym ułedzić co. Gdybyś przypadkiem się orientował, napisz do



mnie natychmiast. Bardzo mi się to nie podoba.

Mama ci\*? pozdrawia. Jest nadal dzielna, criociaż nie msza się już z fotela. Najbardziej męczę się wieczorem, kiedy winduję ją na łóżko, bo jest coraz cięższa. Nie możesz sobie wyobrazić, ile ona je! W godzinę po posiłku skarży się, że jak mówi, ssie ją w dołku. Lekarz zakazał mi jej tyle dawać, ale nie mogę się na to zdobyć. Odkąd<sup>1</sup> Eddie sięgał pamięcią, babka była potwornie gruba i zawsze unieruchomiona w swoim fotelu.

To tuszystko, co mam ci dziś do powiedzenia. Martwię się. Wiesz na ten temat na<sup>1</sup> pew7io więcej niż ja, więc napisz do mnie

szybko, zwłaszcza o Tonym. Czy mała zaczęła już mówić? W naszej dzielnicy też jest jedno dziecko, nie dziewczynka, ale chłopiec, iv tym samym wieku, który...

Dalszy ciąg był na skrawku innej barwy i list kończył się tradycyjnym „całuję cię” w prawym rogu.

Eddie nie podał go żonie. Nigdy nie dawał jej do czytania swoich listów, nawet tych od matki; a jej nie wpadło- by do-głowy domagać się tego.

— Wszystko w porządku?

— Gino jeSt w Kalifornii.

— Na długo?™

— Mama nie wie.

Wolał nie wspominać o Tonym. Rzadko rozmawiał z nią

o swoich sprawach. Alicja też pochodziła z Brooklynu, ale

z innego środowiska. Tego właśnie chciał: z włoskiej rodziny — jak on, bo inaczej nie czułby się z nią swobodnie — ale jej ojciec zajmował dość poważne stanowisko w firmie eksportowej i Alicja, kiedy Eddie ją poznał, pracowała w dużym sklepie na Manhattanie.

Przed wyjściem poszedł uściskać Babe, siedzącą na środku kuchni pod opieką Lois. Z pewnym roztargnieniem pocałował żonę.

— Nie zapomnij zadzwonić, czy jedziesz do Miami.

Na dworze było już ciepło. Słońce świeciło. Zawsze świeciło tu słońce, prócz dwóch, trzech miesięcy pory deszczowej. Zawsze też kwitły kwiaty na klombach, krzakach i palmach wzdłuż drogi.

Przeszedł przez ogród do garażu, gdzie stał jego samochód. Wszyscy ludzie przyjeżdżający do Siesta Bech oświadczyli zgodnie, że jest to prawdziwy raj. Między morzem i laguną stały nowe domy, wille raczej, każda we własnym ogrodzie.

Przejechał po drewnianym moście przez lagunę i dalej aleją, która prowadziła do miasta.

Samochód jechał bez szmeru. Był to wspaniały wóz, najlepszy, jaki można było znaleźć, zawsze lśniący i nieskazitelnie czysty.

Wszystko było piękne. Wszystko było jasne i czyste. Wszystko skąpane w świetle. Czasem człowiek miał wrażenie, że żyje w scenerii z plakatu reklamującego turystykę.

Na lewo w przystani kołysały się lekko jachty. Na Main Street — głównej ulicy miasta — między kamienicami i biurkami widać było parę szyldów, które nocą rozbłysną neonami: „Cyganka”, „Rialto”, „Gaj Kokosowy”, „Mały Dworek”.

Uk

4

i

I

Tora7 wszy:, (ko hy Id ne-cy ynne. i H warte gdzleniejidzii  
drzwi świadczyły

;j nv;|!,i!••/.)?i zabrały się do eodzieh-

■h

idk

Skręcił w

'Wd na (ho

(In »Sami • PeliT.shurga ł Jtiz

u wylotu 7. miasta zatrzymał się przed długim drewnianym budynkiem, tu którym widniał napis: „Owoce  
Wybrzeża Zachodniego, Spółka Akcyjna”.

Wzdłuż całej fasady eiiignęln sir; hula, na której sąsiadowały ze sobą wszystkie I; i o chyba owoce Świnia:  
złocisto ananasy, grejpfruty, l.šjii^ce pomarańcze, mango, QVocndn, każdy gatunek ułożony w piramidkę obok  
warzyw, które spryskiwane pyłem wodnym, zachowywały nierealną świeżość. Sprzedawano nie tylko owoce;  
wewmjlr/. można było dostać różne produkty spożywczo — ściany od podłogi do sufitu zastawione były  
konserwami.

— W porządku, szefie?

Dla jego samochodu rezerwowano zawsze miejsce w cieniu. Co rano stary Angolo w białej bitwie i w  
białym far- iuciu wychodził mu na spotkanie.

— W porządku, Angclo,

Eddie uśmiechał się z rzadka, właściwie nigdy, i Angelo tak jak Alicja nic był tym dotknięty. Eddie nie  
umiał być inny. Nic znaczyło to, że jest w złym humorze. W swoisty «sposób pr^ygkjał się ludziom i rzeczom,  
może nawet nie podejrzliwie jakby spodziewał się zasadzki, ale ostrożnie i z namysłem. Tam, w Hrooklynie,  
kiedy nie miał jeszcze dwudziestu lat, już zaczęto go nazywać Rachmistrzem.

— Ktoś do pana przyjechał.

— Wiem. Gdzie jest?

— Wpuściłem go do kancelarii. Nie bardzo wiedziałem...

Dwóch subiektów w białych bluzach wykladało na półki.

świeże owoce. 7M nimi, w oszklonym biurze, stuknęła maszyna do pisania, widział sWjd jasne włosy i regularny  
profil panny Van Ness,  
[chylił drzwi.

— ładnych telefonów?

— Nie, proszę pana.

Nazywała się Heulah, ale nigdy nie zwracał się do niej po imieniu. W ogóle nie spoufaj się łatwo, a zwłaszcza z  
nią,

— Czeka na pana ktoś w kancelarii.

-- Wiem.

Wszedł do pokoju, umyślnie omijając wzrokiem człowieka Biedzącego no krześle, który palił papierosa i nie  
wstał na powitanie. fódnie najpierw zdjął marynarkę i kapelusz i powiesił jedno i drugie na wieszaku, Potom  
usiadł podciągając nogawki, żeby się nie pogniotyły, i sam z kolej zapalił papierosa.

— Powiedziano mi...

Hieo wreszcie zatrzymał spojrzenie na swoim gościu: dwadzieścia cztery lub dwadzieścia pięć lat, wysoki, mus-  
kularny chłopak o rudych kędzierzawych włosach.

— Kto ci powiedział?

— Przecież pan wie,.

Nie powtórzył pytania, czekał przyglądając się dalej rudzielcowi, który po chwili poczuł się nieswojo; wstął w  
końcu i beknął:

— Bostoński Phil.

— Kiedy go widziałeś?

— W sobotę. To znaczy trzy dni temu.

— Co ci powiedział?

— ftobym pana znalazł pod tym adresem.

— Co jeszcze?

—■ W ogóle, żeby nip wyseibinł nosa.

Eddie nic spuszczał z niego wzroku i chłopiec dorzucił:

— I żeby się nie migał od roboty.

— Siadaj. Jak su? nazywasz?

— Joe. Tam nazywają mnie Kędzierzawy Joe.

— Damy ci bluzę Ustaniesz za ladą.

Kudy westchnął.

— Tak i myślałem.

— Nie podoba ci się?

— Przecież nic nie mówię.

— Będziesz spał u Angela.

— To len'stary?

— Tak. Nie wolno ci wychodzić bez jego pozwolenia. Kto cię szuka?

Joe spochmurniał. Oświadczył z miną krnąbrnego | dziecka:

— Zakazano mi mówić.

— Nawet mnie?

— Nikomu.

— Czy specjalnie zaznaczo,

— Piiiil powiedział: nie pisać słówka nikomu.

— Znasz mojego brata?

— Którego? Buga?

Tak przezywano Gina.

— Wiesz, gdzie on teraz jest?

— Wyjechał parę dni przędę mną.

— Pracowaliście razem?

Joe nie odpowiedział, ale nie zaprzeczył.

— Mojego drugiego brata też znasz?

— Słyszałem o Tonym.

— Nigdy się z nim nie zólknałeś?

J — Nie. Chyba nie.

■ — Przy jakiej okazji o nim słyszałeś?

— Nie pamiętam.

Dawno temu?

— Nie wiem.

Lepiej było nie nalegać.

— Masz forszę?

“Trochę.

— Jak ci zabraknie, powiedz mi. Nie będziesz miał tu na co wydawać.

— »Są tu jakie dziewczyny?

— Zobaczy się,

Eddie skierował się w stronę drzwi.

— Angolo da ci bluzę i powie, co i jak.

— Tnk od razu?

— Tak.

Nie podobał mu się ten chłopiec. Zwłaszcza jego lakoniczne odpowiedzi i to, że nie patrzył mu w oczv.

— Zaopiekuj się nim, Angelo. Będzie spał u ciebie. Nie pozwól mu wychodzić, dopóki nie dowiem się dokładnie od Phi la, o co chodzi.

Ostrożnie musnął palcem brodawkę, na której zaschła kropelka krwi, i wszedł do sąsiedniego pokoju.

— Nic w poczcie?

— Nic ciekawego.

— Z Miami nie dzwoniłono?

— Czeka pan na telefon?

— Nie wiem właściwie.

Zabrzmiął dzwonek, ale był to tylko jeden z dostawców pomarańczy i cytryn. Wrócił do swojej kancelarii, ale nie

mógł nic robić. Czekał. Nie przyszło mu na myśl, żeby poprzedniego wieczora zapytać Phila, w jakim hotelu w Miami się zatrzymał. Nie zawsze stawał w tym samym. Może zresztą lepiej, że nie zadał tego pytania. Phil nie lubił, kiedy ktoś był zbyt ciekawy.

Podpisał pocztę przyniesioną przez pannę Van Ness i zirytował go zapach jej perfum. Był wrażliwy na perfumy. Sam ich dyskretnie używał. Prawdę mówiąc nie lubił woni swojego ciała. Wstydził się, stosował dezodoranty.»

— Jak będzie telefon z Miami...

— Wychodzi pan?

— Jadę do klubu Flamingo, umówiłem się z McGee.

— Mam tam kierować telefony?

— Będę tam za dziesięć minut.

Phil nie zapowiedział, że zadzwoni. Zawiadomił go tylko, że Sid Kubik prawdopodobnie pojawi się dziś w Miami. I dał do zrozumienia, że Kubik może będzie chciał się z nim widzieć.

Dlaczego był tak pewny, że zadzwonią?

Wyszedł z mrocznego sklepu w jasny skwar na dworze. Z budki wyłonił się rudy, wyższy i bardziej barczysty w białej bluzie subiekta.

— Jadę do Flamingo — oznajmił Rico.

Wsiadł do samochodu, zakręcił i pojechał w lewo autostradą. O jakieś sto metrów była sygnalizacja świetlna.

Eddie chciał jechać dalej przy zielonym świetle, kiedy dostrzegł, że jakiś mężczyzna na skraju chodnika daje mu znaki.

W pierwszej chwili go nie poznał, myślał po prostu, że ktoś chce, żeby go podwieźć. Ale przyjrawszy się uważniej, ściągnął brwi i zahamował.

Był to jego brat Gino, który powinien w tej chwili znajdować się gdzieś w Kalifornii.\*

— Wsiadaj!

Odwrócił głowę, żeby się upewnić, czy nikt ich nie obserwuje zza witryny sklepu.

2

Przez dłuższą chwilę zachowywali się tak, jakby Eddie wziął do wozu przypadkowego przechodnia. Nie patrzył, jak brat wsiada do samochodu, o nic go nie zapytał. Gino, z nie zapalonym papierosem w kąciку wąskich ust, usadowił się tak szybko, że zdążył zamknąć drzwi, nim światła zmieniły się na czerwone.

Eddie prowadził ze Wzrokiem utkwionym w drogę. Minęli stację benzynową, parking używanych samochodów, motel z cytrynowożółtymi pawilonami wokół sadzawki.

Bracia nie widzieli się od dwóch lat. Ostatni raz w Nowym Jorku. Gino był w Santa Clara tylko raz jeden, pięć czy sześć lat temu, kiedy Eddie jeszcze nie mieszkał we własnej willi; najmłodszej córki Eddiego w ogóle nie znał.

Od czasu do czasu wyprzedzali ciężarówki; ujechali już dobrą milę ta miasto, kiedy Eddie spytał wreszcie, ledwie otwierając usta i nadal patrząc wprost przed siebie:

— Wiedzą, że tu jesteś?

— Nie.

— Myślą, że w Los Angeles?

— W San Diego.

Gino był chudy, nieładny. Jedyne w rodzinie miał długi nos, trochę krzywy, głęboko osadzone, błyszczące oczy,

.skórą. Ciągłe nimi manipulował, ugniatając cokolwiek: gałkę fłęba. kulkę papieru C'/y gumową piłeczkę. Przyjechałeś poei;igiem?

Gino nie pytał starszego brata, dokąd go wiezie. Miasto •ustawili z tyłu. Eddie skręcił w lewo, na drogę niemal pustą, obsadzoną piniami, międ/y którymi migły gdzieniegdzie pola mieczyków.

— Nie. An^ samolotem. Wsiadłem w autobus,

Eddie ściągnął brwi. Rozumiał. Ten sposób podróżowania był bardziej anonimowy. Gino jechał wielkimi sre- bmoniebieskimi autobusami, z chartem wymalowanym na karoserii, które kursowały po Stanach, jak niegdyś dylizanse, zatrzymując się w każdym mieście i miasteczku r.a przystankach pełniących funkcję dawnych stacji pocztowych, rojących się pstrym tłumem, przeważnie Murzynów — zwłaszcza na Południu — pasażerów objuczonych walizami i pakunkami, matek otoczonych dziećmi, ludzi, którzy jadą bardzo daleko, innych, którzy zaraz wysiadą, kupujących kanapki, żeby je zabrać lub zjeść na-stojąco przy bufecie popijając wrzącą kawą, śpiochów, zdenerwowanych, gaduł, co częstują wszystkich z.wierzeniami.

— Uprzedziłem ich, że pojadę autobusem.

Znowu milczenie, dwie, trzy mile milczenia.

Więźniowie, do połowy obnażeni, z trzydziestu na oko, wszyscy młodzi, w słomianych kapeluszach, kosili trawę na poboczach drogi, pilnowani przez dwóch strażników z karabinami w rękę. <sup>f</sup> Nie patrzyli na nich.

— Alicja dobrze się miewa?

— Tak.

— A dzieciaki?

— Lilian jeszcze nie mówi.

Bracia Rico zawsze byli do siebie przywiązani. Łączyły ich nie tylko rodzinne więzy. Chodzili do tej samej szkoły, należeli jako chłopcy do tych samych band ulicznych, brali udział w tych samych bójkach. W tej epoce Gino darzył starszego brata szczerym podziwem. Czy nadal go podziwia? Być może. Z nim nigdy nic nie wiadomo. Miał w swojej naturze rysy ciemne i namiętne, których przed nikim nie ujawniał.

Eddie go nie rozumiał, zawsze był speszony w jego obecności. Poza tym gorszyły go pewne drobiazgi. Gino pa przykład ubierał się nadal jaskrawo jak chuligani, których naśladowali jako wyrostki. Zachował te same maniery, sposób bycia, spojrzenie ciężkie i rozbiegane jednocześnie, nawet tego papierom przyklejonego dq wargi i nerwowy gest, jakim bez przerwy miętosił coś w długiej, bhdej dłoni.

— Dostałeś list od mamy?

— Dziś ranp.

— Właśnie, myślaiem, że do ciebie napisze.

Znowy znaleźli się nad wodą, nad laguną szerszą tu niż w Siesta Beach, ?. długim drewnianym mostem prowadzącym na wyspę, na którym usadowili się rybacy. Deski, mostu chwiały się pod kołami. Na wyspie minęli wieś, wjechali na smołowaną drogę. Potem były krzaki, bagno, gąszcz palm i pinii i wreszcie wydmy. Od ich spotkania upłynęło już pół godziny i nic jeszcze sobie nie powiedzieli. Eddie wprowadził wóz na ścieżkę między wydmami i zahamował na samym krańcu wyspy, na oślepiającej plaży zalewanej bryzgami' wody, na której widać było tylko mewy i pelikany.

Nie otworzył drzwiczek, siedział nadal w swoim kaci\*; wyłączywszy silnik zapalił papierosa. Piasek parzyłby chyba w stopy. Rzędy muszeł wskazywały, jak daleko sięgał lu przypliw. Wysoka fnla, zbyt biota, zbyt świetlista, żeby można było na nią patrzeć, podnosiła się w regularnych odstępach czasu i opadała powoli, pozostawiając obłok migotliwego pyłu,

— Tony? — spytał wreszcie Eddie zwracając się w stronę brata.

— Co ci m;ima napisała?

— Że się ożenił. To prawda?

— Tak.

— Wiesz, gdzie on jest?

— Niedokładnie. Szukaj\*) go. Znaleźli rodziców jego żony.

-- Włochów?

— Litwini z pochodzenia. Ojciec ma małą farm«» w Pensylwanii. Wygląda na to, że sam też nie wie, gdzie się podziewa jego córka.

— Wio, że wyszła za mąż?

— Tony był u niego i go zawiadomił. Podobno dziewczyna pracowała w biurze w Nowym Jorku, ale poznali się w Atlantic City, gdzie była na urlopie. Możliwe. Potem musieli się znów spotkać w Nowym Jorku. A jakieś dwa miesiące temu pojechali do starego i oświadczyli mu, że się pobrali. Spędzili u niego przeszło tydzień.

Eddie wyciągnął paczkę papierosów i Gino wziął jednego, ale go nie zapalił,

— Wiem, dlaczego go szukają —• mruknął cicho, nie po« ruszając wargami.

— Sprawa Carmine?

Eddie niechętnie mówi na te tematy. Były mu tera; obce, jakby z innego świata. W głębi duszy wołałby p< [ prostu nie wiedzieć. Zawsze jest niebezpiecznie wiedzieć ze dużo. Dlaczego jego bracia nie zerwali z tym wszystkim, tak jak on? Nawet przezwisko Buę-Pluskwa, jak określano jeszcze Gina, brzmiało w jego uszach nieprzyzwoicie.

— To ja sprzątnąłem Carmine'a — oznajmił spokojnie Gino.

Eddie nie dziwił się. Gino był zabójcą. Z wyboru. Między innymi dlatego Eddie, który nienawidził wszelkiego gwałtu, nie umiał traktować go po przyjacielsku.

Nie' osądzał go ani nie potępiał. Odczuwał tylko pewne czyste fizyczne skrępowanie, jak wtedy, kiedy Gino używał slangowych wyrażeń, od których on sam dawno się odzwyczaił.

— Tony prowadził?

Wiedział, jak to się odbywa. Jeszcze w Brooklynie, jako wyrostek, był świadkiem stopniowego doskonalenia się techniki takich akcji i teraz ich przebieg był zswsze taki sam. Każdy miał swoją rolę, swoją specjalność, od której nadzwyczaj rzadko odstępował. Najpierw trzeba było dostarczyć samochód na wyznaczoną porę, szybki wóz, nie rzucający się w oczy, z bakiem pełnym benzyny, najlepiej z tablicą rejestracyjną innego stanu, bo to opóźniało poszukiwania. Tako siedemnastolatek'dwa razy spełniał tę funkcję. Tony też od tego zaczynał, w jeszcze młodszy wieku.. Podstawiał samochód na miejsce i dostawał za to dziesięć lub dwadzieścia dolarów.

Tony był takim entuzjastą samochodów i szybkości, że robił to dla zabawy, kradł z ulicy pierwszy z brzegu wóz, który mu przypadł do gustu, żeby się nacieszyć parogodzinną jazdą po autostradzie, gdzie go potem po prostu zo-

awiał. Raz m/In} wóz

drzewo, jr/i> pasażer zabił ało Tony wyszedł y. tej»o Inv jednego zadraśnięcia.

Kiedv skończył dziewie!na.< i<■ lat, zoezeto mu zlecać już zadania poważniejszo. To on prowadził auto dowożące na Irrrn akcji zabójcę i ji'i»o pomocnika i potem ścigany - lub nie przez polirjf? miał ich odstawić tam, gdzie inny wóz czekał na nich wszystkich.

• - Przy kicrownny był wtedy Kat ty.

r;ino mówił o tym jakby z tcrd;notrj. Kddie /nal Fatty\* e^o, Tłusty chłopak, syn szewca, młodszy od niego, któremu od czasu do czasu dawał drobne polecenia.

-- Kto dowodził?

— Vince Vettori.

Niepotrzebnie zadał to pytanie, zwłaszcza że chodziło

o Veltorioego. Znaczyło to, że sprawy jes\*t poważna i dotyczy porachunków między wielkimi szefami. Carmine, Vettori — tak samo jak Bostoński Phil - byli to ludzie, którzy stali od niego wyżej w hierarchii. Wydawali rozkazy i nie lubili, żeby ktoś wtrącał sir\* do ich interesów.

Wszystko poszło według planu. Wiadomo było, że Carmine wyjdzie o jedenastej z „KI Charro”, bo miał zaraz sic z kimś spotkać gdzie indziej. Zaparkowaliśmy

o pięćdziesiąt metrów. Dano nam znak, że jest już w szatni. Fatty ruszył powolutku i zajechaliśmy przed reslauraejt;, Ó? ku rat kiedy Carmine otwierał drzwi. Naszpikowałem gd kulami.

Wyrażenie wzbudziło w Kddiem niesmak. Nie patrzył na brata, przyglądał się; pelikanowi, który szybował nad białym grzbietem fali zanurzając się czasem, żeby złowić ryb<?. Zazdrosne mewy trzepotały wokół niego wrzeszcząc! przeraźliwie za każdym razem, kiedy chwycił łup.

CV)S lain jednak nie zagrało, .la to wiem tylko z pM-tek.

Zawsze lak było. Nikt ni<\* wiedział dokładnie, co >r1 l, dzieje. Szefowie strzebli się, żeby nie puścić pary z ust Rozchodziły sit/ męlrrie pogłoski. i ludzie wycinali wnioski. Pamiętasz ti\* l«; Rosenberga? ,

Sprzedawcy cygar?

Eddie pamiętał sklepik z Karetami i cygarami naprzeciw- ko „EJ Charro”, W epoce, kiedy zbierał drobne zakłady dla Jednego bukmachera, dość często ustawiał się na ulicy przed sklepikiem Rosenberga, który wiedział o tym i przysyłał mu klientów za drobną prowizją. Już wtedy był stary. W każdym razi« wydawał się stary Eddiemu.

He on ma lat?

Po sześćdziesiątce, Okazuje się, że miano go od pewnego cziiuu na oku. Podobno kumał się z policją. W każdym razie sierżant O'Malley był u niego dwa razy. A potem, za trzecim razem, wziął zjo do prokuratora. -la tam nie wiem, czy Rosenberg sypał. Może tylko nie chcieli ryzykować. Kiedy załatwialiśmy Carmine'«, zamykał akurat sklepik Mógł nas rozpoznać. Postanowiono go sprzątnąć.

Tak zawsze było, ze dwadzieścia razy Kddie słyszał w Brooklynie podobne historie, ile razy potem czytał o tym w gazetach?

- Nie wiem dlaczego, ale nie chcieli, żebym ja tam poszedł, wytypowali nowego, jest taki jeden rudy, nazywa się Joe,

- Z Tonym przy kierownicy?

Tak. Czytałeś na pewno, co się stało. Rosenberg chyba naprawdę sypał, bo dali mu obstawę, tajniaka nie z naszej dzielnicy. Rosenberg zawsze otwierał sklepik punktualnie o ósmej rano. Obok jest stacja metra i ulica o tej

w\

&S-

porze bywa dość ruchliwa. Aulo podjechało. Stary układał i lowar w witrynie, kiedy dostał trzy kule w plecy. Nie\* : wic ni, czy Jor zauważył, i o jakiś typ kręci się koło niego ; i/.y wy nieuchał ^1 i nr;. Może po prostu zagalopował się. Dość, y.e jego też zastrzelił, i zanim tłum oprzytomniał, wóz zniknął.

Eddie miał o całej sprawie do.ś niejasne pojęcie, ale scena była mu znajoma i widział ją wyraźnie jak w kinie. Podobna scena rozegrała się przy nim, kiedy miał cztery ; i pół roku. On jeden z trzech braci Hien był świadkiem,- Gino, wówczas niespełna dwuletni, był w pokoju babki, i raczkował po podłodze. Tony jeszcze się nie urodził. Matka nosiła go w brzuchu i ustawiono dla niej specjalnie krzesło w sklepie za ladą.

Nie w tym sklepie, który miała teraz. Ojciec żył Jeszcze. Eddie pamir/tał go wcale nieźle — mężczyzna o ciemnych] gęstych włosach, dużej głowie, spokojnej twarzy.

On także wydawał mu się stary, choć nie miał jeszcze' trzydziestu pięciu lat. Urodził się nie w Stanach, tylko na Sycylii, koło Taorminy, gdzie jako mały chłopiec pracował u powoźnika. Przyjechał do Brooklynu mając lat dzie\* więtnaście i musiał imać się wielu prac, na pewno skromnych, bo był to człowiek łagodny, nieśmiały o powolnych «uchach i prostodusznym uśmiechu. Nazywał się Cesare. Niektórzy ludzie z dzielnicy pamiętali go jeszcze Jako ulicznego sprzedawcę lodów.

Koło trzydziestki ożenił się z Julią, o dziesięć lat od niego młodszą, która straciła właśnie ojca.

JSddie zawsze podejrzewał, że wybrano go, bo potrzebny był człowiek do pracy w sklepie z warzywami, owocami i innymi artykułami .spożywczymi. Matka Julii była już wtedy bardzo gruba. Eddie widział ojca, jak otwiera klap\*

na lewo od lady, żeby zejść po masło lub ser do piwnicy, c/.y Jak wychodzi stamtąd z workiem karto/li zarzuconym na plecy.

Pewnego popołudnia — padał wtedy śnieg — Eddie bawił się z kolegą po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko wejścia do sklepu. Było jeszcze dość jasno, ale zapalono już lampy na wystawie. Na rogu zaczął się jakiś ruch, ktoś bie.!.;ł, inni krzyčeli.

Cesare, w białym fartuchu, wyszedł ze sklepu i stanął pomiędzy koszami. Jakiś człowiek, jeden z tych, którzy hier«!), potracił go i w tej samej chwili rozległy się dwa strzały.

Czy Eddie naprawdę sam to wszystko widział? Zapamiętał? Tyle razy powtarzano w domu tę historię, że na jego wspomnienia musiały nałożyć się cudze opowieści.

W każdym razie zobaczył, jak ojciec podnosi obie ręce do Rłowy, chwije się przez moment na nogach i pada na chodnik. Przysięgłby niemal, to zachował w pamięci obraz ojca, któremu kula zmasakrowała połowę twarzy.

— Cała lewa strona była jedną wielką dziurą! — powtarzał potem często.

Ten, który strzelił, musiał znajdować się jeszcze dość daleko, bo ścigany zdążył wpaść do sklepu.

— Był bardzo młody, prawda, mama?

— Dziewiętnaście lub dwadzieścia lat. Nie możesz tego pamiętać.

— Pamiętam przecież/ Był ubrany cały na czarno.

— Wydawało ci się, bo już się ściemniało.

Policjant w mundurze, potem drugi, wbiegli do sklepu nie zatrzymując się ani przez chwilę nad ciałem Cesare'a Rico. Ujrzeni Julię siedzącą na swoim krześle za ladą, z rękami splecionymi na wydatnym brzuchu. "



— Gd/k- uii jest?

- Tamtędy...

Wskazała im drzwi w głębi. Mieszkali w siary eh blokach, za którymi ciągnęły sir; podwórka, ?\*dzio parkowano wózki, j^łorys z pobliskich kupców miał tom nawet stajnię i jednego konia.

Kto zadzwonił po karetkę pogotowia? Nikt nie wiedział. Ale karetka przyjechała. Eddie widział, jak zajężdza ua ulicę i ostro hamuje; dwaj ludzie w bieli wyskoczyli na chodnik, matka ukazała się w drzwiach sklepu i rzuciła się tv stronę ojca,

Jeszcze inni policjanci przeszukiwali dzielnicę. Dziesięć razy przechodzili przez sklep. Podwórka na tyłach bloków miały co najmniej dwa lub trzy różne wyjścia.

Dopiero po latach Eddie dowiedział się prawdy. Ścigany?, człowiek nie uciekł przez podwórka. Kiedy wpadł do sklepu, kłapa do piwnicy była otwarta. Julia wskazała mu gestem, żeby tam wszedł, zamknęła kłapę i ustawiła na niej krzesło. Żadnemu z policjantów nie przyszło to do głowy)

— Nie mogłam biec do waszego biednego ojca! — wzdychała matka.

To dla nich wszystkich było oczywiste. W ich dzielnicy każdy uznałby to za oczywiste.

Uciekinier by} to młody Polak, o imieniu trudnym do wymówienia, słabo wówczas jeszcze znający angielskj. Na długo, na całe lata wypadł z obiegu.

Pojawił się znowu jako silny, barczysty mężczyzna, nazywał się, już Sid Kubik i był prawie wielkim szefem.

Kontrolował wszystkie totalizatory, nie tylko w Brooklynie, ale w dolnym Manhattanie i w Greenwich Village i Eddie zaczął dla niego pracować.

Ojciec nie żył, a kobiecie samej trudno jest dźwigać

skrzynki owoców i kosze warzyw, .Tulin więc przeniosła się obok, do sklepiku z cukierkami i wodą sodową.

Kubik często do niej wstępował. Nazywał jq, z tym swoim śmiesznym akcentem, „Mama Julia”.

Obaj mężczyźni w samochodzie milczeli. Kddie dostrzegł daleko na plaży czerwoną plamę. Kobiela w szkarłatnym kąpielowym kostiumie szła powoli pochylając się od czasu do czasu. Na pewno zbierała muszle. Długo potrwa, zanim do nich dobrnie,

Dreńczył go jeden problem. Od Sprawy ‚Carminie’ a upłynęło sześć miesięcy. Cztery dni po strzałach przed „KI Cham)” jedyny świadek został usunięty. Żaden prokurator okręgowy nie był tak szalony, żeby w tych warunkach porywać się na organizację. Do wszczęcia postępowania sądowego muszą mieć solidną podstawę, zeznania, na których mogliby się oprzeć. I dlatego tak długo wokół tej sprawy było cicho. Komisja zajmowała się nią co prawda, bo trzeba ludziom dać poczucie bezpieczeństwa, ale opieszale i obojętnie.

Eddie wiedział, że jego brat myśli o tym samym.

— Ktoś się wygadał? --- mruknął w końcu, odwracając głowę.

- - Nie wiem. Chodzą różne słuchy... Ostatnio, od jakichś dwóch tygodni, ludzie coś lam szepczą, w barach widać obco twarze. O.Mallcy zaciera rączki, jakby szykował jakąś niespodziankę. Nie mówię już o facetach, którzy ni z tego ni z owego chcą nagle wiedzieć, co słyhać u Tony'ego. Inni znowu tak jakby nie mieli ochoty pokazywać się w moim towarzystwie. A jeszcze inni zaczepiali mnie wprost: „No co, Tony się ustatkował? To prawda, że ożenił się z elegancką panienką?” Potem kazano mi jechać do San Diego i tom siedzieć.

— Dlaczego przyjechałaś do mnie?

Gino popatrzył na brata dziwnie, jakby i jemu nie ufał.

— Z powodu Tony'ego.

— Wytłumacz.

— Jeśli go znajdą, sprzątną go.

Bez wielkiego przekonania Eddie bąknął:

— Myślisz?

— Nie będą chcieli ryzykować. Tak samo jak z Rosenbergiem. A w ogóle z zasady nie lubią, jak ktoś występuje z organizacji.

Eddie też to wiedział, jeszcze jak. Ale wolał nie formułować swych myśli tak brutalnie.

— Tony brał udział w tej ostatniej sprawie. Tej, którą prokurator właśnie się zajmuje. Oni uważają, że jeśli policja weźmie się do niego jak należy, może zacząć sypać.

— Ty też tak myślisz?

Gino spojrział przez okienko, strzyknął śliną na gorący piasek i po chwili milczenia szepnął:

— Niewykluczone.

Potem, ciągle nic poruszając wargami:

— Jest zakochany. — ■ I wreszcie: — Podobno jego żona jest w ciąży, — Powiedział to niemal z odrazą.

— Naprawdę nie wiesz, gdzie on jest?

— Gdybym wiedział, postarałbym się z nim zobaczyć. Eddie nie śmiał spytać po co. Byli co prawda braćmi, ale

między nimi, ponad nimi stała ta organizacja, o której tylko ostrożnie napomykali.

— Gdzie byłby bezpieczny?

— W Kanadzie, w Meksyku, w Ameryce Południowej. Wszystko jedno. Byle przeczekać, aż to się uspokoi.

Gino ciągnął innym tonem, jakby mówił sam do siebie.

— Bo ty masz większą swobodę ruchu niż ja. Znasz dużo

ludzi. Nie jesteś w to zamieszany. Może uda ci się dowiedzieć, gdzie on się ukrywa, i ułatwić mu wyjazd.

— Ma pieniądze?

— Skąd? Znasz go przecież.

Kobieta w czerwonym kostiumie była już o jakieś trzysta metrów od nich i Eddie nagle przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył bieg. Wóz potoczył się w tył po piasku i skręcił między wydmy.

— Gdzie twój bagaż?

— Mam tylko jedną walizkę. Zostawiłem ją w schowku na dworcu autobusowym.

Gino nigdy nie miał więcej niż jedną walizkę. Od osiemnastego roku życia, odkąd wyprowadził się od matki, nie miał prawdziwego domu. Mieszkał w pokojach umeblowanych, miesiąc tu, dwa tygodnie gdzie indziej; jeśli był potrzebny, szukano go po barach i tam kierowano jego pocztę, chociaż nie pijał ani whisky, ani piwa.

Jechali w milczeniu. Gino ciągle z nie zapalonym papierosem. Eddie nie pamiętał, czy kiedykolwiek widział go naprawdę palącego.

— Lepiej nie jechać autostradą — mruknął starszy brat z lekkim zakłopotaniem. Dodał: — Joe jest tutaj.

Obaj wiedzieli, o co chodzi. Rozumiało się samo przez się, że usunięto na jakiś czas Joego, tak jak usunięto Gina. Nie pierwszy raz przysyłano kogoś do Eddiego na parę dni lub kilka tygodni. Ale czy Joe miał się tu tylko przyczaić? Mieli przecież do wyboru kilkadziesiąt różnych kryjówek, a wysłali go właśnie do jednego z braci Rico.

— Nie podoba mi się to — bąknął Eddie.

Jego brat wzruszył ramionami. Jechali drogą równoległą do autostrady i nagle, kiedy znaleźli się w pustym stosunkowo miejscu, Gino rzekł:

— Lepiej mnie tu wysadź.  
— ■ Co masz zamiar zrobić?

Pojadę autostopem.

Eddiemu to odpowiadało, ale nie chciał pokazać po so- bio zadowolenia.

— Nie zajmiesz się Tonym, co?

- Zajmę się. Zrobię, co będę mógł.

Gino nie wierzył w to. Otworzył drzwiczki, nie podał bratu ręki, pomachał mu tylko mówiąc: — Bye, bye!

Eddie z ciężkim sercem uruchomił wóz i nie odwracając się patrzył przez chwilę, jak postać brata maleje w lusterku.

Powiedział pannie Van Ness, że jedzie do klubu „Flamingo”. Jeśli Phil telefonował z Miami, przekazała mu tę wiadomość i Phil na pewno zadzwonił do „Flamingo”. - Przykre. Oczywiście wolno mu było się spóźnić. Mógł wstąpić gdzieś po drodze lub spotkać wszystko jedno kogo. Mógł mieć awarię. Ale nie był to najlepszy moment na to wszystko.

Przyśpieszył, wrócił na autostradę i parę minut przed dwunastą zatrzymał się przed budynkiem, na którym widniał napis: „»Flamingo« — Cocktaile, Potrawy z rusztu, Dancing”.

Przed bramą parkowało kilka wozów, Nie znalazłszy lepszego miejsca, ustawił-swoj częściowo na słońcu, pchnął drzwi i wszedł do baru, gdzie dzięki klimatyzacji było rześko, chłodno prawie.

— Dzień dobry, Teddy.

— Dzień dobry panu, panie Rico.

— Jest Pat?

— Szef jest w swoim gabinecie.

Trzeba było przejść przez salę, której ściany zdobiły

różowe flamingi i gdzie maître d'hotel obsługiwał gości przy dwóch stolikach. Dalej był salonik, z fotelami obitymi czerwonym pluszem, i w g»bi drzwi, na których widniała tabliczka: „Pokój prywatny”.

Pat McGee odpowiedział na pukanie natychmiast i wyciągnął muskularną rękę.

— Co słysząc?

— Jakoś leci.

— Właśnie dzwoniło do ciebie przed chwilą.

— Phil?

— Phil. Z Miami. Tu jest jego numer. Masz oddzwonić.

— Nic nie powiedział? \*\*\*

Dlaczego przyglądał się podejrzliwie Patowi? Nonsens. Bostoński Phi! nie zwierzałby się przecież takiemu McGee.

Pat podniósł słuchawkę. W dwie minuty później podał ją Eddiemu mówiąc:

— Zatrzymał się w hotelu „Excelsior”. Zdaje się, że jest ktoś u niego.

Niemily głos Phila po drugiej stronie drutu:

— Halo, Eddie?

Eddie znał luksusowe apartamenty hotelu „Excelsior” w Miami Beach. Phil brał zawsze apartament z salonem, gdzie lubił przyjmować gości, sam przyrządzając cocktaile. Miał mnóstwo znajomych wśród dziennikarzy« ludzi z różnych środowisk — aktorów, sportowców, ba, nawet wśród potentatów naftowych Teksasu.

— Musiałem zatrzymać się w warsztacie, bo mój wóz... Przerwał mu z miejsca.

— Sid przyjechał.

To nie wymagało odpowiedzi. Eddie czekał. W salonie byli jacyś ludzie, bo docierał do niego gwar głosów, wśród nich jeden wysoki sopran kobiecy.

W południe był samolot. Teraz już za późno. Leć tym

o drugiej trzydzieści.

— Mam przyjechać?

•— Chyba mówię wyraźnie?

— Nic byłem pewien. Przepraszam.

Przybrał ton księgowego wobec dyrektora lub kontrolera, który ma sprawdzić księgi, i peszyła go obecność Pata McGee. Wolał nie mieć świadków, kiedy zachowywał się tak uniesienie. Bo ostatecznie tutaj, w swoim rejonie, sam jest szefem. I McGee od niego za chwilę przyjmie rozkazy.

-\*• Ten chłopak przyjechał?

— Umieściłem go w sklepie.

— Do widzenia. \* Phil się rozłączył. j.

— Zawsze taki sam — parsknął McGee. — Myśli, że-i\* jest najważniejszy. 'L

— Tak. ■ — Dać ci rachunki z tego tygodnia?

— Nie mam dziś czasu. Jadę do Miami.

— Domyśliłem się, że o to^chodzi. Podobno Sid tam jest. Każda wiadomość rozchodziła się w niesamowitym wprost tempie. A przecież McGee był tylko skromnym ' właścicielem przydrożnego baru, gdzie stało parę automa- tów do gry, przy okazji przyjmowano zakłady i obstawia-;;\*<sup>1</sup> no totalizatora.

Dwa razy w tygodniu Rico robił objazd i inkasował 1 ^ swoją dolę. Panna Van Ness przekazywała zakłady bez- " pośrednio przez telefon do Miami. Zebrane pieniądze nie-;: należały oczywiście do niego. Odsyłał je wyżej, ale to, co;| mu zostawało, wystarczyło na wygodne życie, o jakim jg zawsze marzył. 9

Eddie nie był wielkim szefem. Nie pisano o nim w gazetach. rzadko wspomniano go w barach Nowego Jorku. New Jersey czy Chicago. Ale jednak był szefem na .swoich włościach, gdzie wszystkie be\* wyjątku nocne kluby bez słowa protestu oddawały mu część zysków. Nikt nie próbował go oszukiwać. Za dobrze znał się na rachunkach, Nigdy nie wpadał w złość, nie uciekał się do pogroźek. Przeciwnie, mówił cicho, używał możliwie najmniejszej ilości słów i wszyscy w lot go rozumieli.

W gruncie rzeczy odnosił się do innych podobnie jak Phil odnosił się do niego. Może za jego plecami ludzie szeptali, że go naśladuje?

— Martini?

— Nie. Muszę wpaść do domu, żeby się przebrać. Zdarzało się podczas upałów, że zmieniał ubranie i biele- liznę dwa razy dziennie. Czy i pod tym względem naśladował może Phila, u którego tr> podpatrzył? Bezwiednie potarł policzek i brodawka znowu zaczęła krwawić. Nieznacznie, ale wystarczyło, żeby popatrzył na chusteczkę 7, zatroskaną miną.

— Czy to prawda, że w „Samoa” znowu grają w ruletkę?

— Od czasu do czasu, kiedy trafiają się odpowiedni goście.

— Uzgodnili to z Garretem?

— Pod warunkiem, że nie będzie skarg.

— Sam miałbym ochotę...

— Nie. Tutaj nie. Za bardzo na widoku, za blisko miasta. To byłoby niebezpieczne.

Szeryf Garret należał -do jego przyjaciół. Dość często Jedli razem obiad. Garret miał swoje powody, żeby niczego mu nie odmawiać, Ale tym niemniej sytuacja była deli-

katr.o. T.x y j'Kisi'- MrO\* ni«- y.hwsz\* zdawali sohi« z tego :ipra v.-'«; i ru byli P'/'« ady.  
)„, v.i'l' l' ■; >iii. K./l', i'-'\* /-'i dv.'a. trzy dni.

- /o/.'}. 'ów o/j'\*. - rhil.i. Nic był u na Juz dóbr«\*  
f,)«/

Ivlrbc wrócił do •.amocbndu, głow'iqc <rzy Pat 7h;j. ważył, że j'-.i zał riu;owany. Wstąpił do sklepu i oówi;rl«  
xyi. że wróci lub po j mrze. Co właściwie panna Van Ne  
wiedziała? To nie on j;| wybr-it. Przysłano jq z góry. Jo\* w blu/ii- obsługiwał klientkę I wyraźnie go to ba.  
wiło. Zrobił fUa do Kddiego, który uznał to za zbytnią pOllliiUw:.

- Pilnuj'«o! • przykazał staremu Angolo, do któr»-gv- miał zaufanie.

• Mo/o pan na mnie liczyć, ijz«-fie.

Starr;z<- córki nie wracały ze szkoły na lunch. AI kr ja domyśliła \*ię, że zaszło coś nowego\*

- Przebierzesz się?

- Tak. Chód?., przygotuj mi walizkę,

Jedziesz do Miami?

-- Tak.

- Na kilka dni?

- - Nie wiem.

Zawahał się, c/y ma Jej powiedzieć, że widział swój\*\*?» brata. Był pewien, że nie zdradziły go. Nie należała  
też do kobiet gadatliwych. Jeśli lak rzadko rozmawiał z nią

o swoich sprawach, to rzyżej przez wstydlivość. Wiedziała, rzecz jasna, mniej więcej, czym się zajmuje. Ale  
wolał unikać szczegółów. Chciał, żeby jego dom, jego rodzin\*, były ? togo wyłączone.

Był przywiązany do Alicji. Zwłaszcza cenil sobie to, it ona kocha go bez zastrzeżeń.

- 7,i'i' i;w<>rti- y. do mnie?

U/Jy w w tor.

TeJefojiował k. \"\*dy był w i.ó/y. czajeni

dwa ra/.y na dobę. Pytał o ciz^ci, o wszystko. (Jd< /.uwul jM)trzeb<j upewniania - in dom m»dłł istnieje i z« nic  
się w nim nie zmieniło.

- WeźmiMz biały ftmiRi/ig?

Na wsrełki wypadek. Nigdy nie wiadomo.

7'fzy ubrania?

Miał« wprawę w pakowaniu.

Muaz zakrwawiony paliczek.

Wiero.

Przed wyj ǳdem potarł brodownrkę ałunem. Żegnając się z liabe, Która układała i.ię do poobiedniej drzemki,  
w\*U- nawiał się, czy najmłodsza córka zac/nic w końcu mówii\*. Co w przyszłości będą mm mówiły, myśliły  
obie atars/e córki? Jakie zachowają wspomnienia o ojcu? C/>,\*to łamał ."óie nad tym głowę.

Przytulił żon«, miała przyjemne ciało, ładnie pachniała, wargi jej były ciepłe.

Wracaj prędko.

Zamówił taksówkę, swój samochód zastawił Alicji. Kierowco znał go i nazywid szefem.

Pasażerowie lecący z Tampa i z dalszych miejsc pościnali krawaty i marynarki. Eddie niechętnie dogadzał sobie  
w miejscach publicznych. Trzymał się sztywno jak w autobusie i patrzył bez ciekawości przed siebie, czasem  
tylko

rzucając obojętne spojrzenie na rodozieloną dżunglą, n/v] •ctórą przelatywali. Uśmiechniętej uprzejmie stewardesie\* na pytanie, co woli: kawę czy 'herbatę, odpowiedział jedynie gestem. Nie poczuwał się do obowiązku nadskakiwano kobietom. Nie był też wobec nich niegrzeczny. Nie ufał im.

Przez całe życie odnosił się nieufnie do wielu rzeczy i wyszło mu to na dobre. Od czasu do czasu dostrzegał przez okienko połyskującą drogę, ciągnącą się wzdłuż nformal zupełnie prostej linii kanału, po którym nie płynął żaden statek. Był to kanał irygacyjny ze stojącą wodą, czarną, lepka, gdzie na mulistym dnie żyły aligatory i inne stworzenia, o których obecności świadczyły tylko wir.4- kie bańki powietrza, nieustannie pojawiające się na powierzchni. Na przestrztni ponad stu pięćdziesięciu mil nie było ani jednego domu, ani jednej stacji benzynowej. Nie było też ani skrawka cienia. Zdarzało się, że przez godzinę nie przejeżdżał tędy ani jeden samochód.

Zawsze się denerwował, kiedy jechał tu wozem, zwłaszcza sam, bez pasażerów. Nawet powietrze, ociążałe od słońca, zdawało się rozbrzmiewać wrogim pomrukiem. Ba jednym końcu drogi znajdowało się Miami, ze swymi pal-, mowymi alejami i wielkimi hotelami, których białe mury wznosiły się pod niebo; na drugim schludne i etche miasteczka Zatoki Meksykańskiej. Między tymi dwoma punktami rozpościerało się bezludzie — rozpalona dżungla wydana na pastwę niezliczonym zwierzętom.

Co by się stało, gdyby nagle zasłabł przy kierownicy? W klimatyzowanym samolocie droga nie zabierała więcej czasu niż jazda autobusem z Brooklynu do centrum Manhattanu, kiedy był małym chłopcem. A jednak zawsze odczuwał pewien niepokój, gdy opuszczał swoje włości, tak jak wówczas, kiedy znalazł się poza swoją dzielnicą.

W Miami on, Eddie Rico, nie był już szefem, 7\ a ulicach, w barach nikt go nie znał. Ludzie, z którymi się spotykał, żyli na innym poziomie niż on. Byli od niego potężniejsi. Zależał od nich.

Już wiele razy odbywał tę podróż w podobnej sytuacji. Prawie wszyscy wielcy szefowie spędzali parę tygodni co roku w Miami lub w Palm Beach. Gardzili zachodnim wybrzeżem — jeśli był im potrzebny, wzywali go do siebie%. / ^Przygotowując się do tych spotkań, nie zastanawiał się, / tak samo jak teraz, co im powie, ale mobilizował swoją f wiarę w siebie. O to tylko chodziło. Musiał czuć, że ma rację.

Imiał rację przez całe życie. Nawet kiedy niektórzy koledzy z Brooklynu kpili z niego i przezywali Rachmi-.strzem.

Hu z nich obecnie żyje jeszcze, by mogli przyznać, że to on wybrał słus2ną drogę? Co prawda, nawet gdyby tu byli, też by chyba tego nie przyznali. Tak jak Gino. Eddie zawsze miał wrażenie, że brat odnosi się do niego nie z zazdrością, ale z pewnym lekceważeniem.

A jednak to Gino i wszyscy ludzie się mylili.

Potrzebne mu było to przekonanie, żeby w dobrym samopoczuciu i z zimną krwią oczekiwać spotkania z Philem i Sidem Kubikiem.

Phil mógł sobie stroić różne miny, ale to nie jego opinia się liczyła, lecz zdanie Kubika. A ten zna go dobrze.

Eddie zawsze szedł prostą drogą. W epoce kiedy zdecydował o swoim losie, otwierały się przed nim i inne możliwości, Organizacja nie była jeszcze tym co teraz. Właściwie można by powiedzieć, że w ogóle nie istniała. Uczyli się nadal tylko potężni baronowie, ci którzy wybili się podczas prohibicji. Zdarzata się, że porozumiewali się dla

' v. n\|v, /<iwui,łh pr/v mi« r/i, uU pławie -aw #\*e koń- • ,yin MI; to lli.f.iik i  
Pi\*;-! t \ \* i i si«: «ni nmóslwa j'»»mnii-j:^Ył h pr/ywó-d-  
. w N:-którzy włnduh yMi-dwu' jednq d/klmie.\* , »\*■ »Mmii dwo-ma tr/cma ulttami. Inni ograniczali w\* ; \* .lu j»-  
tłn«j U IK\*! ;.H-> j;djn »sci .

Tak hyl \* \s. lłjAH\*!vjvli,\* i w cł^1nym Muuhutt.mj ■ Chłop > y. 7 którymi K-Ki.r i JMKI/II do s/koly, po  
;-U«n'n vri.iu dwu-  
d?IOS?U lut llWtif.ii | /H pT/V'U odWiW ł WSpOłTłOtfim» pi'>./  
paru kumpli próbował! wykroić sobie królestwo. .MusMi r. '»bijn> ru«> tylko. by zlikwidować konkurentów. ale  
dU podburzania swc^o auloryUtu.

To prawda, ?\> mn-H autoryu-t, ze cała ulUa patmla m> ? nich r pod/iw«»!!! I / 7A\*dr<v« ii\*, kiedy wyt  
worn.r ubrani^ wysiadali ze .sportów«#.» samochodu, żeby wt-jść do baru -  
«vv nn bilardową.

C/y to włwśnl? olśniło Gino? S/czoraó mówinc 'Eddie w to mc- wh.rzył. Gino by i wyjqtki»-m. Nigdy me  
pu\*zył - siej, nu\* grał komedii, nii- :-Urał się imponować dziewczętom. 7x>.st;d zabójcij idqc za KiostMTi  
powołania, / ħmmą ż Krww». j ikby ciułał Uspokoić /łtd/e zemsty łub.-l  
jakby naci.\*kdr.ie spustu automatu na wprost zyweflo cdii -f; :>i>rawiało mu ukryty rozkosz,

Njłktórzy wr«y:r. mu to 7 o rzucali. Eddic wola! nie : biał toj kwestii. Gino był jego bratem. Czy w tej  
chwili /nów .siod« wciśnięty w kąat autobusu, jadącego w strony M: ■>>-łłiipi i Kalifornii? Eddic nigdy nie  
próbował pracować ? na własne konto. I nigdy nie był aresztowany. Należał do j nielicznych ludzi, którzy  
przeżyli tamten okres, a któryś \ nazwiska nie figurowały w rejestrze skazanych ani odciski, ■ palców w  
kartotekach policyjnych.

ł#  
'it'

Zanim jcv/.czc /u«/jł M»; tt>hc, zbf\*>id drobne /układy na ulicy nn rachunek loknhwijo bukmachera, który  
ni-- płaciJ mu prowizji, ale f»od koniec dnia. Jeśli ni»\* spijał isi;; Tl»\ dawał mu ciepły dwa, tr/y dolary.

Ijr/yl Ni/j dóbr/«\*. On jed\*ii r timłi braci Kieo chodził do n/l-;oły do pietrwdrno rokni życiu,  
^i»rwi./n prawdziwy pracuj dostał, kłedy zn Jednym 7 salonów fryzjeritkirh otworzono aRen«']«\* totii-  
il-idóra. Na iflank\* wisuda czarn;» tablica, nn ktfr\*^>] wy\* pLn:ino nr.zwy koni i ntimrry. fityfo tam Ifilkana.śrio  
a^irn\* tów bdrfonic/nych, tyłuż, a naw»\*t wii^i»J, pracowników, ławki dla grał/y, kU>rzy czfkah n« wyniki.  
nazywał Kidora, aic wiadomo było, że ni».\* pracuje na władny raf-huiicU, z«» /a nini sini kto» wa/niejs/y.

(\*zy dzU jest łak AUIUO?

Nad ił»dcm, ntid Sld«ł»n Kubikiem l nawi\*t nad takim poi< nt;drm jak siary Mo.wW, właścicielem  
licznych domów if/y i ;x»rm\*tfo klubu w Ib no, zbudowuncjjo kosztem widu milionów, istniał wyższy urz«łw!,  
o którym Kddie nie wiedział nic prawu?. Tak zrc.vztq, jak w klubach l kasynach w San U Horo i dwóch  
podległych mu okręgach nte wiadzano, kto &toi za nim.

Alówiono „organizacja", Nicktórzy mieli własne koncepcje, próbowali coś wyniu liać, mówili za dużo, Inni  
uważali sic ?o doic siinych, żeby obywać się boz protokto\* tr'jw, chcieli działać na własną r«kę, al<» rzadko im  
U) udawało. Prawdę mówiac Hico nie znuł takiego wypadku. Wszyscy ci ludzie •\*— czy to był Nitti, czy  
Caraccio (choć miał przydomek Szczęściarz), Diilon, Landi czy wielu innych — pewnego dnia musieli udać  
się na prz^jażdżkę samochodem, który wywoził ich gdzici na nie zamieszkałe

tereny lub, jak ostatnio Carmme, po dobrym obiedzie padali podziurawieni kulami.

Eddie zawsze przestrzegał reguły. Sid Kubik wiedział o tym. Sid, który znalazł jego matkę. Inni, nad Sidem, też chyba wiedzieli. Jego, Eddiego Rico, przez długie lata wysyłano wszędzie tam, gdzie montowano nową agencję. Stał się prawdziwym ekspertem. Pracował w Chicago, w Luizjanie, przez wiele tygodni przywracał porządek - w Saint Louis w Missouri.

Był spokojny, pedantyczny. Nigdy nie domagał się więcej, niż wynosił jego udział.

Umiał wyliczyć z dokładnością do paru dolarów dochód, jaki powinien przynieść automat do gry, zainstalowany w danej okolicy, wpływy z partii ruletki czy gry w kości, a loteria nie miała przed nim żadnych tajemnic.

Mówiono: „On umie liczyć”.

W początkowym okresie po ślubie nadal podróżował. Dopiero kiedy urodziła mu się pierwsza córka, poprosił!

o stałe miejsce pobytu. Inny by tego żądał, uważając, że dobrze na nie zasłużył. Eddie nie. Po prostu przedstawił konkretną propozycję.

Od dawna żywił ambicję, żeby mieć własny rejon. Mapę Stanów Zjednoczonych miał w małym palcu. Wszystkie dobre tereny wydawały się zajęte. Miami i wschodnie wybrzeże Florydy, z kasynami, luksusowymi hotelami, kosmopolitycznym towarzystwem, które tu zjeżdżało każdej zimy, był to smakowity kąsek, ale tak wielki, że przydzielano go paru ludziom, i Bostoński Phil często musiał tam jeździć, żeby pilnować porządku i uśmierzać konflikty.

Na zachodnim wybrzeżu nie było nikogo. Nikomu na tym nie zależało. Do małych miasteczek, między plażami a nachorską i laguną, oddalonych od siebie o dwadzieścia,

trzydzieści mil, przyjeżdżali spokojni ludzie, wyżsi oficerowie na emeryturze, wysocy urzędnicy, przemysłowcy z różnych stron, którzy chronili się tu przed zimowym mrozem lub osiadali na stałe.

— Zgoda, mój mały — oświadczył Sid Kubik, wówczas już barczysty olbrzym z głową jakby wyciosaną z białego kamienia.

Swój obecny rozkwit wybrzeże nad zatoką zawdzięczało tylko i wyłącznie Eddiemu. Szefowie wiedzieli o tym dobrze. Zнали wysokość corocznych wpływów. I w ciągu dziesięciu lat nie padł tu ani jeden strzał, nie było ani jednego ataku w prasie.

To Eddie wpadł na pomysł, żeby dla zachowania pozorów odkupić za znikome pieniądze przedsiębiorstwo owocowo-warzywne, które wtedy nie przynosiło żadnych zysków. Teraz miało ono trzy filie w trzech różnych miejscowościach i przynosiło dochody, które starczyłyby Eddiemu na utrzymanie.

Nie zaczął od budowania willi. Najpierw wynajął dom w dzielnicy przyzwoitej, ale nie najdroższej. Nie starał się od razu zaprzyjaźnić z szeryfem czy komendantem policji, jak by zrobili inni.

Począł, aż zyska reputację uczciwego kupca, rzetelnego ojca rodziny, spokojnego człowieka, który co niedziela chodzi do kościoła i nie skąpi pieniędzy na filantropię.

Dopiero wtedy zbliżył się do szeryfa, przygotowawszy się odpowiednio, tak jak teraz w samolocie przygotowywał się do spotkania w Miami. Przemówił mu do rozsądku.

— W hrabstwie jest osiem domów gry, kilkanaście punktów totalizatora i co najmniej trzysta automatów, wszędzie po trosze, nawet w salonach dwóch Klubów Ziemskich.



Liczby były ściśle. Wszystko to spoczywało w rękach drobnych fuszerów, działających na własny rachunek.

— Od czasu do czasu opinia publiczna się burzy, Ligi i Stowarzyszenia zaczynają gadać o zepsuciu, o prostytucji itp. Aresztujecie wlewy paru facetów. Skazuje się ich lub nie. I albo sami zaczynają od nowa, albo inni zajmują natychmiast ich miejsce. Wie pan przecież, że nie da się tego uniknąć.

Niech zostawią swobodę jemu, Eddiemu, a liczba tych domów zostanie ograniczona, zaprowadzi się kontrolę, narzuci dyscyplinę. W ten sposób przygodni gracze nie będą wnosić skarg, że zostali oskubani przez szulerów. Z ulic i z barów znikną nieletnie dziewczynki. Krótko: nie będzie więcej skandali.

Nie musiał napomykać o wynagrodzeniu. Szeryf zrozumiał. Miasto nie podlegało jego jurysdykcji, ale komendant policji sam po paru tygodniach nawiązał kontakt z Eddiem.

Wobec właścicieli domów gry był jeszcze bardziej przekonujący, ale i chłodniejszy. Znał ten typ ludzi naprawdę dobrze.

— W tej chwili zarabiasz tyle a tyle dolarów tygodniowo, ale od tej sumy musisz odjąć koszty. Policjanci, działacze polityczni bez przerwy ciągną z ciebie pieniądze i mimo to co pewien czas zamykają ci interes i stajesz przed sądem. Organizacja umożliwi ci podwojenie dochodów. Koniec z niespodziankami i kłopotami, pracujesz prawie jawnie. Wszystko masz raz na zawsze załatwione. I chociaż wpłacasz nam pięćdziesiąt procent, sam zarabiasz więcej. Możesz się nie zgodzić, ale uprzedzam: znam paru chłopców, nie~nadmierzalnie grzecznych, którzy chętnie zrobią małą wycieczkę i wstąpią tu pogadać z tobą.

Takie momenty lubił najbardziej. Był całkowicie opanowany. Tylko na samym początku, kiedy nie nadał jeszcze rozmowie właściwego obrotu, górna warga drgała mu niedostrzegalnie.

Nigdy nie miał przy sobie broni. Jego jedyny automat leżał w szufladzie nocnego stolika. O biciu się nie było mowy, miał wstręt do ciosów i widoku krwi. Bil się tylko raz w życiu, mając szesnaście lat, i kiedy pocięła mu krew z nosa, omal nie zemdlął.

— Rozważ to sobie. Nie ma pośpiechu. Przyjadę tu jutro.

Od tamtych czasów zmieniono szeryfa, ale z obecnym, Billem Garretem, i z Craigiem, komendantem policji, stosunki ułożyły się równie dobrze. Dziennikarze w lot zorientowali się w sytuacji, też z niej zresztą korzystali, tyle że raczej nie w żywej gotówce, ale w obiadkach, przyjęciach, dziewczynkach.

Eddie wiedział, co Gino o nim myśli. Ale nie mąciło to jego przekonania, że postępuje słusznie. Był właścicielem jednego z najpiękniejszych domów w Siesta Beach. Miał żonę, z którą mógł się wszędzie pokazać bez obawy, że strzeli gafę. Jego dwie starsze córki chodziły do najlepszej prywatnej szkoły. Dla większości mieszkańców Santa Clara i okolic Eddie był dobrze prosperującym kupcem, który zawsze honoruje swój podpis.

Przed trzema miesiącami zdobył się na eksperyment, który mógł okazać się niebezpieczny. Zgłosił swoją kandydaturę do Klubu Ziemińskiego w Siesta Beach, bardzo wybrednego w doborze swoich członków. Przez osiem dni gryzł paznokcie ze zdenerwowania. Kiedy wreszcie zadzwoniono do niego, że został przyjęty, oczy mu się zaszklily, przez długą chwilę trzymał Alicję w ramionach nie mogąc wymówić słowa.

Nic lubił PhjJa, który nigdy nie mieszkał w Brooklynie i który zrobił karierę przy pomocy całkiem innych metod. Nie wiedział zresztą jakich, nie polegał na krążących plotkach.

Będzie łam w każdym razie Sid Kubik, który wiedział, co Eddie jest wart, i którego kiedyś ocalili jego rodzice.

Wstał, wziął z siatki walizkę i w ślad za innymi pasażerami zszedł po schodkach, od razu zanurzając się w wilgotnym upale. Z namysłem wybrał taksówkę. Nie znosił starych wozów z wgniecionymi siedzeniami i chciał, żeby kierowca dobrze się prezentował.

— Do „Excelsioru”.

Miami mu nie imponowało. Duża miejscowość ociekająca bogactwem. Długie aleje obsadzone palmami, gdzie największe magazyny z Piątej Alei miały swoje filie, olśniewały przepychem. Obszerne pałacyki, białe lub różowe, których ogrody wychodziły na lagunę, wszystkie prawie miały jachty zakotwiczone obok prywatnych grobli, nie mówiąc o niezliczonych motorówkach i wodolotach.

W Nowym Jorku i Brooklynie plotkowano, że jeden z wielkich szefów mieszka tu przez okrągły rok w pałacu z opancerzoną sypialnią i utrzymuje stałą kilkusobową straż przyboczną.

Eddiego to nie interesowało. Nie dotyczyło go to. Jego siła polegała na tym, że nie przejmował się plotkami.

Znał swoje miejsce, nikomu nie zazdrościł, nikogo nie próbował wysadzić z siodła. I dlatego nie ma się czego bać.

„Excelsior” miał dwadzieścia siedem piętér, obszerny basen na brzegu morza, wytworne stoiska luksusowych magazynów wokół hallu, a liberie personelu musiały kosztować fortunę.

— Do pana Kubika, proszę.

Grzeczny. Pewny siebie. Spokojnie przyglądał się, jak urzędnik telefonuje.

— Pan Kubik prosi, żeby pan zaczekał. Ma konferencję. Phil postąpiłby tak naumyślnie, żeby dać mu po nosie i podkreślić swoją przewagę. Ale Sid Kubik nie. To zupełnie naturalne, że jest zadęty. Prowadzi interesy na większą yknię niż najpoważniejsze\* firmy nowojorskie, a może nawet niż towarzystwa ubezpieczeniowe. I sprawy, które zolalwia, są bardziej skomplikowane, bo nie można się oprzeć na renomowanych podręcznikach.

Po kwadransie wzięła t<sup>1</sup>,) chętką, żeby się czegoś napić. W głębi hallu znajdował się bar, pogrążony w przychylnym półmroku. Czasami przed ważnym spotkaniem pozwalał sobie dla kurażu na szklaneczkę whisky, rzadziej dwie. Jeśli dziś nie chciał te<sup>o</sup> zrobić, W) dlatego, żeby samemu sobie dowieść, że się nie boi.

Czego miałby się bać? Co mu można zarzucić? Kubik na pewno będzie z nim mówić o Tennytn. Eddie nie jest odpowiedzialny za małżeństwo najmłodszego brata ani za jego obecne zachowanie, Stał w pobliżu jednej z wind, która be\* przerwy jeździła w górę i w dół, Za każdym razem kiedy wychodzili z niej ludzie, usiłował odgadnąć, czy to oni brali udział w konferencji u s/rfa.

— Pan Kico?

— Tok

— Czekają na pana w pokoju 12G2.

Poczuł lekkie ukłucie w sercu.

Winda ruszyła bezszelestnie. Jasne korytarze, wyłożone bladozielonym chodnikiem, na drzwiach cyfry wykute z miedzi. Drzwi opatrzone numerem 12R2 otworzyły się, zanim zdążył zapukać, i Phil w milczeniu podał mu obo-

jęlnym gestem rękę, nie odwzajemniając uścisku. Był wysoki, miał rzadkie włosy, sflaczałe mięśnie pod garniturem z kremowego szantungu. Żaluzje w oknach, które na pewno wychodziły na morze, były szczelnie zapuszczone.

— Kubik?" — spytał Eddie rozglądając się po pustym salonie.

Phil podbródkiem wskazał na uchylone drzwi. Rzeczywiście odbywała się tu konferencja, na małych stolikach pełno było szklanek, w popielniczkach zostało kilka nie wypalonych do końca cygar.

Kubik wyszedł ze swojego pokoju, obnażony do pasa, z puszystym ręcznikiem w ręku, rozsiewając mocny zapach wody kolońskiej.

— Siadaj, mały.

Miał szeroką, silnie owłosioną pierś, ramiona muskularne jak u boksera, całe ciało, brodę zwłaszcza, jak ze stali.

— Daj mi whisky z lodem, Phil,

Eddie nie wzbraniał się, uznał, że nie powinien odmawiać.

— Zaraz tu będę.

Znowu<sup>1</sup> zniknął i wrócił po chwili wpychając koszulę w płócienne spodnie.

— Masz wiadomości od brata?

Eddie zaniepokoił się, czy już wiedzą, że Gino nie pojechał wprost do Kalifornii. Kłamać było niebezpiecznie.

— Od Tony'ego? — wołał zapytać, podczas gdy Phil wrzucał lód do wysokiej szklanki.

— Pisał do ciebie?

— Nie. Matka pisała. Dostałem od niej list dziś rano.

— Co pisze? Bardzo lubię twoją matkę, to dzielna kobieta. Jak się miewa?

— Dobrze.

— Widziała się z Tonym?

— Nie. Pisze mi, że się ożenił, ale nie wie z kim.

— Nie był u niej ostatnio?

— Władnie na to się skarży.

Kubik opadł na fotel, wyciągnął nogi. Sięgnął po cygaro i Phil szybko podsunął mu złotą zapalniczkę z wygrawerowanymi inicjałami.

— To wszystko, co wiesz o Tonym?

Lepiej było nie kręcić. Kubik pozornie nie przyglądał mu się wprost, ale Eddie czuł na sobie ukradkowe spojrzenia, bystre i przenikliwe.

— Matka pisze, że odwiedzają ją różni ludzie, zupełnie obcy, i pytają o Tony'ego. Nie wie, o co chodzi.

Wydaje mi się zaniepokojona.

— Myśli, że to policja?

Patrząc Kubikowi prosto w oczy odpowiedział wyraźnie:

— Nie.

— Wiesz, gdzie jest Gino?

— W tym samym liście matka zawiadamia mnie, że wysłano go do Kalifornii,

— Masz list przy sobie?

— Spaliłem go. Zawsze palę listy po przeczytaniu.

Tak w istocie było. Nie musiał kłamać. Starał się w miarę możliwości nie kłamać, zwłaszcza Kubikowi. Phil, długi i zwinny, kręcił się wokół nich z zadowolonym uśmiechem — Eddiemu bardzo się ten uśmiech nie podobał — jakby niecierpliwie czekał na dalszy ciąg.

— My też nie wiemy, gdzie jest Tony. To poważne — oznajmił Kubik kontemplując swoje cygaro. — Miałem nadzieję, że napisał do ciebie. Wiadomo, że trzymacie się razem, wszyscy trzej.

— Nie widziałem Tony'ego już od dwóch lat.

• • List mógł wysiać, szkoda, że tego nie zrobił.

Phil nie krył zadowolenia. Bostoński Phil nie był Włochem. Bardzo silny brunet, miał chyba w żyłach krew hiszpańską. Mówiono, że uczęszczał do college'u. Eddie podejrzewa) go o pewną pogardę, niechęć nawet, do wszystkich takich jak on, którzy zaczynali na zatłoczonych ulicach Brooklynu.

— Twój brat Tony pracował dla nas ostatni raz przed sześcioma miesiącami.

Eddie nie drgnął. Nie wolno mu było się zdradzić, że cokolwiek wie.

— Od tego czasu nikt go nie widział. Nie pisał do ciebie nawet na Boże Narodzenie ani na Nowy Rok?

— Nie.

Ciągle trzymał się prawdy. Uśmiechnął się bezwiednie, bo sam także zadałby właśnie te pytania. Nigdy świadomie nie naśladował sposobu bycia Kubika ani tym bardziej Phila, ale w swoim rejonie, gdzie był szefem, instynktownie zachowywał się tak jak oni.

Nie dotknął nawet swojej szklanki, w której lód powoli topniał. Tamci dwaj też nie pili. Zadzwoił telefon. Phil odpowiedział.

— Ilalo!... Tak... Nie wcześniej niż za pół godziny. Ma naradę.

Odłożywszy słuchawkę półgłosem zawiadomił Sida:

— Bob dzwoni...

— Niech czeka.

Usiadł głębiej w fotelu, ciągle zajęty swoim cygarem, na którym utworzył się śnieżnobiały stożek popiołu.

— Dziewczyna, z którą twój brat się ożenił, nazywa się Nora Malaks. Pracowała w biurze na Czterdziestej Ósmej

ulicy w Nowym Jorku. Ma dwadzieścia dwa lata i podobno jest piękna. Tony poznał ją w Atlantic City podczas ostatnich wakacji.

Przerwał na chwilę. Phil podszedł do okna i wyjrzał na ulicę przez wąskie szpary w żaluzjach.

— Przed trzema miesiącami w merostwie nowojorskim zostało wydane pozwolenie na zawarcie małżeństwa dla Tony'ego i tej dziewczyny. Nie wiadomo, gdzie wzięli ślub. Mogli to zrobić gdziekolwiek, na wsi, czy w jakimś miasteczku...

Kubik zachował do dziś cień obcego akcentu i miał chropawy głos.

— Znałem kiedyś jednych Malaksów, ale to nie są ci. Jej ojciec jest farmerem w małej wiosce w Pensylwanii. Oprócz Nory ma co najmniej jednego syna.

Eddie miał przykre wrażenie, że na razie wszystko idzie zbyt gładko. Spokojne zadowolenie Phila nie zapowiadało nic dobrego. Phil nie uśmiechałby się tak, gdyby cała rozmowa miała toczyć się w tym tonie.

— Posłuchaj mnie dobrze, mały. Brat nazywa się Pieter. Pieter Malaks. Ma dwadzieścia Sześć lat i pracuje od pięciu lat w nowojorskim biurze General Electric.

Odruchowo wypowiedział te słowa z szacunkiem. General Electric to było poważne przedsiębiorstwo, na wielką skalę, na większą nawet niż organizacja.

«— Mimo młodego wieku Malaks jest już zastępcą kierownika obsługi klientów. Jest kawalerem, mieszka w skromnym mieszkaniu w Bronx i wieczorami też pracuje. t Eddie zdawał sobie sprawę, że ostatnie słowa zostały podkreślone umyślnie, że Sid przygląda mu się znacząco."ŚĄ ■— To ambitny chłopak, rozumiesz? Liczy na szybkość

Karierę i «a pewno już widzi siebie jako jednego z dyrektorów General Electric.

Czy chciał mu dać do zrozumienia, że Pieter Malaks jest podobny do niego? Kiedy to wcale nieprawda. Phil nie ma powodu do znaczących min. On, Eddie, nigdy nie mierzył •ak wysoko. Wystarcza! mu jego skrawek Florydy i nic nie robił, żeby się zbliżyć do ważnych osobistości. Sid Kubik chyba zna go na tyle?

• — Pokaż mu zdjęcie, Phil.

Phil wyciągnął je z szuflady i podał Eddiemu. Było to migawkowe zdjęcie, zrobione chyba Leicą i następnie powiększone. Niedawno, bo młody ezłowiek na nim był w letnim garniturze i w słomkowym kapeluszu. Był bardzo wysoki, raczej szczupły, chyba blondyn o jasnej cerze. Szedł długim, zdecydowanym krokiem, patrząc wprost przed siebie.

— Poznajesz ten gmach?

Widać z niego było tylko kawałek muru, schodki przed podcieniami.

— Komenda główna policji? — zapytał.

— Właśnie. Widzę, że jeszcze nie zapomniałeś Nowego Jorku. Zdjęcie zostało zrobione podczas drugiej wizyty, jaką ten pan złożył pewnej personie miesiąc temu. Od tego czasu już tam się nie pojawił, ale za to pewien porucznik był u niego kilka razy w domu. Tajne schadzki.

Kubik, który ostatnie słowa wypowiedział z pewną emfazą, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Tyle tylko, że my tam też mamy swoich informatorów. Malaks w charakterze uczciwego obywatela opowiedział im-historijkę o tym, jak to jego biedna siostrzyczka wpadła w ręce gangstera i mimo jego perswazji wyszła za niego za mąż. Zaczynasz rozumieć?

Eddie spłoszony potwierdził ruchem głowy,

— To jeszcze nie wszystko. Przypominasz sobie sprawę Carmine'a?

— Czytałem sprawozdania w gazetach,

— I nic więcej o tym nie wiesz?

— Nie.

Tym razem musiał już skłamać.

— Zaraz potem był ciąg dalszy; ktoś tam za dużo gadał i trzeba było go uciszyć, zanim powtórzy swoją powiastkę przed komisją.

Obaj go obserwowali. Nie dał nic po sobie poznać.

— W tej drugiej sprawie Tony był przy kierownicy.

Całą siłą woli opanowywał się, żeby nie okazać żadnego wzruszenia, żadnego zaskoczenia.

— A w sprawie Carmine'a twój drugi brat Gino odegrał zwykłą rolę.

Kubik strząsnął na dywan popiół z cygara. Phil stał za jego fotelem patrząc Eddiemu prosto w twarz.

— To wszystko młody Malaks opowiedział policji. Tony jest jakoby tak zakochany, że nie chciał ukryć przed żoną nic ze swojej przeszłości.

— I ona powtórzyła to bratu?

— To nie wszystko.

Reszta była jeszcze nieskończenie groźniejsza niż przewidywania Eddiego. Przygnębiony unikał wzroku Phila, który nadal uśmiechał się obleśnie.

— Według Pietera Malaksa, cnotliwego obywatela, który chce pomóc organom sprawiedliwości oczyścić Stany Zjednoczone z gangsterów i przy okazji nieźle rozreklamować swoje nazwisko, twój brat Tony chce podobno odciąć się od swojej przeszłości i jest dręczony wyrzutami sumienia. Ty znasz lepiej Tony'ego niż ja.

— To na niego nie wygląda.

Miał ochotę ostrzej protestować, przypomnieć przeszłość braci Rico, ale był tak wzburzony, że nie mógł wydobyć głosu, osłabł, zbierało mu się niemal na płacz.

— Może Malaks się przechwalał. Nie wiadomo. W każdym razie zapewniał policję, że jeśli Tony będzie odpowiednio traktowany przy przesłuchaniu — to znaczy dadzą mu szansę, że się z tego wyciągnie i nie będą rraciskać zbyt brutalnie — on, Malaks, jest pewny, że jego szwagier wszystko sypnie...

— To nieprawda!

Omam nie skoczył z fotela. Powstrzymało go spojrzenie Phila. I to, że w głębi duszy nie był o tym święcie przekonany.

— Nie twierdę, że to prawda. Ale przyznasz, że to prawdopodobne. Kto z nas może zgadnąć, jak Tony zachowa się, jeśli po aresztowaniu zaproponują mu coś sensownego. Byli już tacy przed nim. Z reguły nie zostawialiśmy im szansy, żeby ulegli pokusie. Carmine na przykład — mogło mu się to zdarzyć — i dlatego twój brat Gino go załatwił. Gino tego wieczoru nie był sam. Był z nim w samochodzie ktoś bardzo ważny. Vince Vettori. Eddie nie może tego wiedzieć. Vettori ; nie stał na samym szczycie piramidy, ale liczył się prawie tak samo jak Kubik.

Nigdy nie dopuszczano, żeby ktoś taki dostał się w ręce policji. Byłoby to zbyt niebezpieczne, mogłoby wywołać reakcję łańcuchową.

— Znasz Vince'a?

^

— Kiedyś go spotkałem.

— Był obecny przy obu akcjach.

Zamilkł, w sposób bardziej niż poprzednio znaczący, podczas gdy Phil zapalał papierosa głaszcząc swą zapalniczkę.

— Rozumiesz teraz? Za żadną cenę nie wolno dopuścić, żeby Tony zeznawał.

— On nie będzie sypał.

— Żeby się upewnić, musimy go najpierw znaleźć.

— To nie powinno być trudne.

-g- Może dla ciebie. Stary Malaks chyba coś wie. Młoda para była u niego. Jeśli my go zapytamy, będzie ostrożny. Ale ty jesteś bratem Tony'ego.

Czoło Eddiego pokryło się drobnymi kropelkami potu. Machinalnie potarł brodawkę, która znowu zaczęła krwawić.

— To wszystko, mój mały. Twój ojciec ocalił mi niechcący życie. Twoja matka też, ale ona wiedziała, co robi. Od przeszło trzydziestu lat oddaje nam usługi, Gino jest zdyscyplinowany. Ty zawsze dobrze pracowałeś i dotychczas Tony nie dawał powodów do skarg. Chodzi o to, żeby nie zeznawał. To wszystko. Jestem w Miami przejazdem i wewałem ciebie, bo sobie pomyślałem, że tylko ty możesz nas wybawić z kłopotu. Pomyliłem się?

Eddie podniósł wzrok, powiedział niemal wbrew swojej woli: — Nie.

— Jestem pewien, że go znajdziesz. Eez wątpienia szuka go także FBI i całe Stany nie są dla niego dość dużo. W Kanadzie czy w Meksyku też, boję się, byłoby mu za ciasno. Ale gdybym na przykład wiedział, że jest w Europie, chyba byłbym spokojniejszy. Czy na Sycylii mieszka jeszcze ktoś z waszych krewnych?

— Nasz ojciec miał ośmioro rodzeństwa.

— Byłaby to okazja dla Tony'ego, żeby nawiązać kontakt z rodziną i, jeśli mu zależy, przedstawić jej żonę. ei

- Tak.
- Chodzi o to, żeby go namówić, znaleźć dobre argumenty.
- Tak.
- Trzeba się śpieszyć.

Tak.

— Na twoim miejscu zacząłbym od starego Malaksa. Powiedział jeszcze raz „tak”. Sid Kubik podnosił się już z fotela i gasił cygaro w popielniczkę, a Phil poszedł w stronę drzwi.

— Poza tym w Santa Clara wszystko dobrze?

— Bardzo dobrze.

— Fajna okolica?

— Tak.

— Byłoby szkoda ją opuszczać.

Gdyby przynajmniej Phil przestał się uśmiechać.

— Zrobię wszystko, co będę mógł.

— To wcale nie będzie za dużo.

W głowie mu się kręciło, a przecież nie miał w ustach kropli whisky.

— Radziłbym ci pojechać wprost do Pensylwanii, bez wstępowania do Santa Clara.

— Tak, -

— Nawiasem mówiąc, jak sprawuje się Joe?

— Postawiłem go za ladą.

— Ktoś go pilnuje?

— Angelo dostał instrukcje.

Kubik, już na stojąco wyciągnął swą wielką łapę i uściśnął dłoń Eddiego tak mocno, że całkiem mu zdrętwiała\*

— Tony nie może zeznawać. W żadnym wypadku nic wolno do tego dopuścić. Zgoda?

— Tak.

Zapomniał pożegnać się z PhUem. Dwie kobiety w szortach czekały na windę, ale Eddie widział tylko jasne płamy. W świeżym powietrzu hallu znowu zakręciło mu się w głowie i musiał usiąść koło jednego z filarów.

4

Właściciel garażu w Harrisburgu, od którego wypożyczył samochód, pokazał mu drogę na mapie, przypiętej pluskiewkami do ściany. Słysząc już było dalekie grzmoty, ale deszcz jeszcze nie padał. Ma jechać szosą stanową do Carlisle, skrócić w prawo na szosę 274, potem na lewo w 850, zaraz za taką małą osadą, która nazywa się Drum- gold; dalej uważać: w którymś miejscu przed Alinda zobaczy duży ceglany budynek z wysokim kominem, starą cukrownię. Tam w bok prowadzi droga.

Wszystko to zarejestrował mechanicznie w pamięci, jak uczeń, nawet długość poszczególnych odcinków w milach. Zaczęło padać, kiedy jechał jeszcze między białymi liniami autostrady. Deszcz nie wzmagał się stopniowo. W dwie sekundy spadła lawina wody, której wycieraczki nie mogły sprostać, i pokryła szybę tak gęsto, że Eddie jechał niemal na oślep.

Źle spał. Wczoraj wieczorem, wysiadłszy na lotnisku w Waszyngtonie dowiedział się, że za godzinę ma samolot do Harrisburga, i zdecydował się lecieć nie zadbawszy o to, żeby zarezerwować telefonicznie pokój w hotelu. Podróż była denerwująca. Na polu startowym w Jacksonville zobaczyli dymiące szczątki samolotu, który rozbił się przed niespełną godziną.

W kilku lepszych hotelach Harrisburga nie było ani jednego pokoju z powodu jakichś uroczystości, jarmarku chyba, bo ulice obwieszono proporczykami, wzniesiono bramę tryumfalną i jeszcze po północy w różnych miejscach przygrywały kapele.

Szofer taksówki zawiózł go wreszcie do podłego hoteliku, gdzie emalia wanny była skażona żółtymi zaciekami, a koło łóżka, oprócz egzemplarza Biblii, stał aparat radiowy, funkcjonujący po wrzuceniu we właściwy otwór dwu- dziesięciocentowej monety.

Przez całą noc pijana para, wyludziwszy od portiera butelkę whisky, hałasowała w pokoju obok i Eddie na próżno stukał wielokrotnie w cienką ściankę.

W młodości bywał oczywiście w gorszych warunkach. Kiedy był mały, w domu w ogóle nie było łazienki: myli się w kuchni, raz w tygodniu, w sobotę.

Może po to tak ciężko pracował, żeby teraz mieć prawdziwą łazienkę. Mieć łazienkę i co dzień zmieniać bieliznę! Przeoczył Carlisle. Wzdłuż szosy stały tablice informacyjne, ale samochody mknęły szybko, koła zgrzytały na rozmięklej nawierzchni, musiał utrzymywać tempo i nie miał czasu na odczytywanie napisów przez zalane wodą szyby.

Kiedy wreszcie udało mu się zjechać z szosy stanowej, minął już drogę 274 i musiał zrobić długi objazd między polami, a potem wśród obskurnych miasteczek, żeby na nią trafić. Jak na złość już po dwóch milach droga była zagrodzona; jeszcze jedna tablica z parometrowej długości strzałką oznajmiała: „objazd”.

Potem jechał na los szczęścia, pochylony do przodu, żeby rozróżnić cokolwiek pośród burzy, droga gliniasta prze-  
klumulowała.

chodziła w smołowaną nawierzchnię, co budziło w nim pewną nadzieję, ale zaraz po przejeździe przez jakąś wioskę znów zmieniała się w zwykłą ścieżkę. Był teraz w górach, dookoła czerniły się drzewa, czasem mijał farmę, jakieś łąki, na których nieliczne krowy, osłupiałe ze strachu, długo za nim spoglądały.

Zabłądził. Powinien był dawno minąć Drumgold, ale nic nie zapowiadało, że jest tu taka miejscowość, i nie było już ani jednego drogowskazu. Żeby spytać o drogę, musiałby zatrzymać wóz przed farmą, wysiąść, zmoknąć do suchej nitki, zanim dobiegnie do drzwi, a wcale nie był pewien, czy kogoś zastanie — wydawało się, że świat jest nie zamieszkały przez ludzkie istoty.

W końcu jednak trafił na stację benzynową. Musiał długo trąbić, aż wreszcie ukazał się rudy drab z ceratą zarzuconą na plecy.

— White Cloud?

Poskrobał się w głowę i poszedł spytać do sąsiedniej chałupy. Znowu zbocza, lasy, jeziora równie puste jak niebo. Wreszcie po wielu godzinach jazdy — nie miał nic w ustach od porannej filiżanki kawy — ujrzał w wąwozie kilka drewnianych domków, na jednym z nich, pomalowanym na żółty kolor, czarne litery głosiły: „Ezechieł Higgins, Skład Handlowy”.

Właściciel garażu kazał mu szukać tego domu. Jest więc w White Cloud, gdzie mieszka stary Malaks.

Wzdłuż budynku ciągnęła się weranda. Po lewej stronie mieścił się sklep, taki jak w okresie pionierskim, gdzie sprzedawano wszystko: worki mąki, łopaty, rydło, uprzęż, konserwy, obok cukierków i ubrań roboczych. Nad środkowymi drzwiami był szyld: „Hotel”, a po prawej stronie napis: „Gospoda”.



Dach werandy przeciekał. W jako tako osłoniętym miejscu jakiś mężczyzna palił mocne cygaro, kołysząc się w fotelu na biegunach, wyraźnie rozbawiony widokiem Eddiego rzucającego się w strumieniu deszczu. Początkowo Eddie nie zwracała na niego uwagi. Zastanawiał się, gdzie najlepiej będzie wejść, pchnął wreszcie drzwi do gospody, gdzie dwaj starcy siedzieli nad kieliszkami, bez słowa, jak mumie. Byli naprawdę bardzo starzy — zgrzybiali dziadkowie, jakich spotyka się już tylko na odległych wsiach. Po długiej chwili milczenia jeden z nich zdecydował się otworzyć wreszcie usta i zawołać:

— Marta!

Z kuchni wyrzała kobieta wycierając ręce w fartuch.

— O co chodzi? \*

— Czy to jest White Cloud?

— A co ma być?

— Mieszka tu Hans Malaks?

— Tu i nie tu. Jego farma jest o cztery mile stąd, po drugiej stronie gór.

— Można tu dostać coś do zjedzenia?

Mężczyzna z werandy stanął w drzwiach i przyglądał mu się kąpiąco, jakby ta scena sprawiała mu żywą przyjemność. Eddiemu nagle rozjaśniło się w głowie.

Nie znał go. Był pewien, że nigdy go nie widział. Ale był równie pewien, że ten człowiek spędził dzieciństwo w Brooklynie i że nie znalazł się tu przypadkowo.

— Mogę panu zrobić omlet.

Zgodził się. Kobieta zniknęła i wróciła natychmiast pytając, czy napije się czegoś.

— Tylko wody.

Mógł znajdować się na końcu świata. Kolorowe fotografie na ścianach pochodziły sprzed dwudziestu, trzydziestu lat i niektóre z nich zdobiły już sklep jego ojca. Zapach też był podobny, tutaj nasycony jeszcze wonią wsi i deszczu.

Dwaj starcy, nieruchomi, jakby utknęli tu na wieczność, nie spuszczała z niego oczu w czerwonych obwódkach; jeden z nich miał kozią bródkę.

Eddie usiadł przy oknie; z przykrą świadomością, że jest tu obcy, czuł się jeszcze bardziej nieswojo niż w Miami.

Zamiast tu przyjeżdżać, powinien był wczoraj udać się do Brooklynu, wprost do matki. Właściwie nie wiedział, dlaczego tego nie zrobił. Może dlatego, że czuł się śledzony. Już w samolocie z Miami do Waszyngtonu badając po kolei twarze pasażerów zastanawiał się, który z nich ma go pilnować.

Ten facet, który patrzył, jak wysiada z auta, i uśmiechał się z satysfakcją, na pewno należy do organizera. Może przebywa tu od wielu dni? Może był u starego Malaksa i próbował go pociągnąć za język?

W każdym razie czekał tu na niego. Chyba zawiadomili go z Miami przez telefon. Kręcił się koło Eddiego jakby niezdecydowany, czy ma go zagadnąć.

- — Ładna pogoda, co?

Eddie nie odpowiedział.

— Wcale niełatwo znaleźć farmę tego starego.

Kpi sobie z mego? Był bez marynarki i bez krawata, bo mimo burzy było gorąco, ciepło, wilgotne powietrze oblepiało skórę — \*■ Ciekawy typ!

Na pewno mówił o Malaksie. Eddie lekko wzruszył ramionami. Mężczyzna rzucił jeszcze parę krótkich zdań, po czym odwrócił się mruczając:

— Jak pan sobie życzy!

Kddie jadł bez apatyty. Kobieta wyszła za nim na we- n.tnrłę, żeby mu wskazać drogę. U .stóp zbrocza był niewielki wodospad i należało przejechać przez potok, który z.-iłał ścieżkę. Tym razem nie zablądził, tyle że\* o mało nic ugrzązł w głębokich bruzdnrh, wyżłobionych przez traktory.

W ntisLępnęj dolince, wśród łąk i pól kukurydzianych, ujrzał stodołę pomalowaną na czerwono, parterowy dom, gęsi zloszczące się. na samochod.

Kiedy wysiadał z wozu, ktoś przyglądał mu się z okna, ale po chwili twarz zniknęła, drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna wielki i silny jak niedźwiedź.

Tym razem Eddie nic sobie nie przygotował. Nie jpiął możliwości. Nie by! tu na swoim terenie. Gospodarz z kukurydzianą fajką w ustach patrzył, jak strząsa krople deszczu z kapelusza i z ramion.

Mokro! — stwierdził wesoło.

- Mokro, tak.

Pośrodku dużej izby siał piec starego typu, z rurą doprowadzoną do otworu w ścianie. Sufit był niski, nie pobielany, wsparty na grubych bulkach. Na ścianie trzy -tr/cłby, jedna z dwiema lufami. Przyjemnie pachniało krową.

Jestem bratem Tony'ego — powiedział z miejsca.

Mężczyzna wydawał się rad z tej wiadomości. To znakomicie być bratem Tony'ego.

„I co dalej” zdawał się pytać, wskazując uprzejmie fotel na biegunach.

Po czym wziął z półki butelkę z czystą wódką, samogonem chyba, i dwa kieliszki z grubego szkła. Napełnił je rytualnym gestem, jeden postawił bez słowa przed gościem i Eddie zdał sobie sprawę, że nie wolno mu odmówić.

Przy tym starcu Sid Kubik, który przecież był człowiekiem o atletycznej budowie, wyglądałby jak dość wątpliwy mężczyzna.

Malaks miał twarz pobrudzoną drobnymi zmarszczkami, ale jego mięśnie wydymały kraciastą koszulę i dłonie były ogromne, twarde jak łopaty.

Głos Eddiego brzmiał dość niepewnie;

— Już od dawna nie miałem wiadomości od Tony'ego. Starzec miał bardzo jasne niebieskie oczy i dobroduszny

wyraz twarzy. Jakby uśmiechał się do świata bożego, na którym i on ma swoje małe miejsce i gdzie nie może zdarzyć się nic, co by go zdołało zaskoczyć.

— To zacny chłopiec — oznajmił.

— Tak. Słyszałem, że bardzo kocha pańską córkę. Malaks odpowiedział:

— Tak bywa w tym wieku.

— Ucieszyłem się, że się pobrali.

Malaks usiadł naprzeciwko niego, na fotelu na biegunach i kołysał się rytmicznie postawiwszy butelkę w zasięgu ręki.

— To się dość często zdarza między mężczyzną i kobietą.

— Nie wiem, czy mówił panu o mnie.

— Trochę. To pan mieszka na Florydzie?

Co Tony mu opowiedział? Czy zwierzył się teściowi z tego samego co żonie i mówił, czym się zajmują bracia?

Malaks bynajmniej nie zachowywał się nieufnie ani obojętnie. Jasne było, że wizyta pana z południa w najmniejszej mierze nim nie wstrząsnęła. Co mogłoby nim wstrząsnąć? Nic, bez wątpienia. Ułożył sobie życie, przestrzegał obrządku, który sam stworzył. Gościa, który zapukał do jego drzwi, częstował kieliszkiem wódki.

Trakto

wał to jako okazję do napięcia się, do zobaczenia obcej twarzy, do wymienienia paru zdań.

Miał jednak taką minę, jakby nie brał tego zbyt poważnie.

— Matka mi napisała, że Tony zrezygnował z pracy. Wystawiał go na próbę. Badał, jak zareaguje. Jeśli Malaks wie — czy określenie „praca” nie wywoła ironicznego uśmiechu?

Uśmiechnął się istotnie, ale bez ironii. Był to uśmiech samych oczu, bez udziału mięśni twarzy ani warg.

— Byłem w tej okolicy, więc wstąpiłem, żeby pana poznać.

Z taką miną, jakby chciał mu za to podziękować, Malaks nalał mu drugi kieliszek swojej wódki, która paliła gardło.

To było o wiele trudniejsze niż rozmowa z szeryfem czy którymkolwiek właścicielem nocnego klubu. Zwłaszcza że nie był całkiem pewny siebie. Wstydził się trochę i usiłował nie dać tego po sobie poznać. Czuł się jak chuchro wobec tej zwartej masy mięśni, kołyszącej się w fotelu naprzeciwko.

Malaks mu nie pomagał. Nie z rozmysłem chyba. Ludzie wiodący taki tryb życia nie są gadatliwi.

— Pomyślałem sobie, że jeśli trzeba mu pomóc, mógłbym dość łatwo znaleźć mu robotę.

— Wygląda na takiego, co sam sobie potrafi dać radę.

— Jest dobrym mechanikiem, od dzieciństwa ciągnęło go do maszyn.

— Wystarczyły mu trzy dni, żeby uruchomić starą ciężarówkę, którą wyrzuciłem na złom koło sadzawki. Eddie zdobył się na uśmiech.

— To cały Tony! Dobrze, że zrobił coś pożytecznego.

— Podarowałem mu ją. Należała mu się. Zresztą kupiłem w zeszłym roku nową.

— Wyjechali tą ciężarówką?

Stary przytaknął.

— Przydał się. Z ciężarówką — taki człowiek jak ino j brat może już, coś kombinować.

— To właśnie powiedział.

Jeszcze za wcześnie na pytanie wprost.

— Pana córka... Nora, zdaje się?... nie boi się?

— Czego?

— Rzucić posadę, Nowy Jork, bezpieczne życie i tak sobie wyjechać w nieznaną?

Jeden tylko haczyk: „w nieznaną”. To mogło wywołać reakcję, ale nie wywołało.

— Nora jest pełnoletnia. Kiedy wyjechała stąd trzy lata temu, też nie wiedziała, co sobie znajdzie. I ja nie wiedziałem, jak wyjeżdżać ze swojej wsi. Miałem tylko szesnaście lat.

— Nie boi się trudnych warunków?

Jak fałszywie brzmiał jego głos, nawet w jego własnych uszach! Miał uczucie, jakby odgrywał paskudną rolę, ale przecież nie mógł postępować inaczej dla dobra Tony'ego.

— Trudnych warunków? W domu było nas osiemnaście dzieci i do dnia, kiedy wyjechałem, nie widziałem białego chleba, nie wiedziałem, że coś takiego istnieje na świecie. Jedliśmy tylko żytni chleb, buraki, kartofle, czasem okraszone kapką słoniny. Na kartofle i słoninę zawsze jakoś zarobią.

— Tony jest dzielny.

— To zacy chłopak.

— Zastanawiam się, czy miał jakieś zamiary, kiedy reperował ciężarówkę.

n

— Chyba tak.  
— W niektórych okolicach jest za mało środków transportu.  
— Jasne!  
— A jeszcze o tej porze, podczas zbiorów!  
Stary potakiwał grzejąc kieliszek w wielkiej brązowej dłoni.  
— Na Florydzie znalazłby natychmiast klientów. Teraz zbiera się tam mieczyki.  
Nie chwyciło. Trzeba było działać wprost.  
— Ma pan od nich wiadomości?  
— Nie, odkąd wyjechali, nie mam.  
— Córka nie pisała?  
— Ja do swojej rodziny przez trzy lata nic nie pisałem. Przede wszystkim znaczki kosztują. Po drugie nie miałem im nic do powiedzenia. W ogóle przez cały czas wysłałem dwa listy.  
\* — Syn też do pana nie pisze?  
— Który?  
Eddie nie wiedział, że ma ich kilku. Dwóch? Trzech?  
— Ten, który pracuje w General Electric. Tony mówił o nim mojej matce. Podobno świetnie się zapowiada.  
— Możliwe.  
— Pańskie dzieci, zdaje się, nie lubią wsi.  
— Tych dwoje nie.  
Eddie musiał wstać, żeby nie stracić cierpliwości. Podszedł do okna-popatrzeć na deszcz, który ciągle padał rysując kręgi na powierzchni kałuż.  
— Chyba już pojedę...  
— Jeszcze dziś jedzie pan do Nowego Jorku? Potwierdził, choć sam jeszcze nie wiedział.  
— Chciałbym napisać do Tony'ego. Mam dla niego ważne wiadomości.  
— Nie zostawił adresu, to znaczy że mu na nich nie zależy.  
Nie, «tary nie był ani trochę sarkastyczny. Taki już miał prostoliniwny sposób mówienia i myślenia. W każdym razie Eddie chciał w to wierzyć.  
— A jeśli coś przydarzy się mojej matce?..  
Coraz bardziej wstydził się swoich brudnych sztuczek.  
— To stara kobieta. Ostatnio nie czuje się najlepiej.  
— Nie może zdarzyć się jej nic poważniejszego niż śmierć. I Tony jej nie wskrzesi, prawda?  
Prawda, oczywiście. Wszystko było proste i jasne. To tylko on nędznie kręcił w nadziei, że skłoni starego do powiedzenia mu czegoś, czego on nie wie lub nie chce powiedzieć.  
Drgnął, zobaczywszy przez okno mężczyznę z workiem na głowie, mającym zastąpić parasol. Mężczyzna przyglądał się tablicy rejestracyjnej wozu, a potem zajrzał przez okienko, żeby przeczytać prawo jazdy, owinięte wokół; drażka kierownicy. Mężczyzna w czerwonych gumowych butach był młody, podobny do Malaksa, choć brzydszy.  
0 nieregularnych rysach. Otarł buty o raur domu, pchnął drzwi, popatrzył na Eddiego, na ojca. w końcu na butelkę  
1 kieliszki.  
— O co chodzi? — zapytał, nie witając się.  
— Brat Tony'ego.  
. Młodzieniec zwrócił się do Eddiego.  
— Wynajął pan tego gruchota w Harrisburgu? Zabrzmiało to nie jak pytanie, ale jak oskarżenie. Nie dodał nic więcej, przestał się interesować gościem i poszedł do kuchni, żeby napić się wody.

— Mam nadzieję, że będą szczęśliwi — Eddie zaczął się żegnać.

— Na pewno będą.

To wszystko. Syn wrócił do pokoju ze szlanką w rękę i śledził wzrokiem Eddiego, który z ociąganiem skierował się do wyjścia.

Stary Malaks wstał z fotela i też patrzył nie odprowadzając go.

— Dziękuję za poczęstunek.

— Nie ma za co.

— Dziękuję w każdym razie. Może mam zostawić wam swój adres na wypadek, gdyby...

To była ostatnia próba.

—\* Po co? Ja i tak nie piszę. Nie wiem nawet\* czy pamiętam litery.

Rico skulony przebył przestrzeń dzielącą go od auta. Nie podniósł szyby i siedzenie było mokre od deszczu.

Uruchomił silnik, nagle wściekły, bo na dodatek wydało mu się, że z domu dobiegł go głośny wybuch śmiechu.

U Higginsa facet, który ciągle jeszcze bujał się na fotelu, z kpina w oczach patrzył na nadjeżdżający samochód.

Eddie, rozjątrzony, w ogóle nie wysiadł, tylko dodał gazu i z miejsca ruszył w drogę powrotną.

Tym razem nie zablądził. Burza przeszła, skończyły się grzmoty i błyskawice, ale dalej siało coraz drobniej i gęściej. Zaniósł się na co najmniej trzydniówkę.

Właściciel garażu w Harrisburgu gderał, bo wóz był oblepiony błotem aż po dach. Eddie po drodze zabrał z hotelu walizkę i pojechał taksówką na lotnisko, nie pytając nawet, o której ma samolot.

Musiał czekać półtorej godziny. Na rozmiękłym gruncie lotniska połyskiwał cement krzyżujących się pasów startowych. Poczekalnia cuchnęła wilgocią i moczem. W głębi były dwie kabiny telefoniczne. Podszedł do kontuaru rozmienić pieniądze.

Wczoraj wieczorem nie telefonował do domu.

Teraz też robił to niechętnie, tylko dlatego, że obiecał Alicji. Już zamówił połączenie, a jeszcze nie wiedział, co powie, nie powziął żadnej decyzji. Brała go pokusa, żeby wrócić jak najszybciej, zostawić sprawy własnemu biurowi, i rzeczywiście się nie zajmować mimo Phila i wszystkich organizacji świata.

Nie mieli prawa niszczyć w ten sposób jego życia. Sam je stworzył, własnymi rękami, podobnie jak stary Malaks zbudował swoją farmę.

Nie odpowiadał za czyny swojego brata. To nie on prowadził wóz, z którego padły strzały, niosące śmierć sprzedawcy cygar z Fulton Avenue.

Kiedy teraz o tym myślał, wszystko to wydawało mu się bezsensowne. Czy ten facet z werandy naprawę miał go śledzić? Czemu wobec tego za nim nie pojechał? Próbując być w kabinie telefonicznej Eddie widział całą poczekalnię, gdzie siedziały tylko dwie starsze kobiety i jakiś marynarz z torbą leżącą obok na ławce.

Wszystko tu było brudne, szare, odpychające. W Santa Clara jego dom błyszczał w słońcu niepokalaną białą. Ale jeśli ten człowiek nie był tam z jego powodu, to co u licha robił w White Cloud? Podczas gdy na linii nawoływały się głosy telefonistek znalazł całkiem proste wyjaśnienie. Sid Kubik nie jest dzieckiem, na pewno jest ope- ratywniejszy od każdego policjanta. W kącie werandy, za drzwiami sklepu, było okienko, nad którym widniał napis: „Urząd pocztowy”.

Tutaj przychodziła cała okoliczna poczta. Jesliby nad-

szedł list do Malaksa, ten człowiek mógł łatwo obejrzy - go sobie, w momencie kiedy wylądowywano worki.

— To ty?

— Gdzie jesteś?

— W Pensylwanii.

— Wrócisz prędko?

— Nie wiem. Jak dzieci?

— Bardzo dobrze.

— Jest coś nowego?

— Nie. Szeryf dzwonił aie powiedział, że to nic ważne- go. Zostajesz tam?

— Jestem na lotnisku. Będę dziś wieczór w Nowym Jorku.

— Zobaczysz się z matką?

— Nie wiem. Prawdopodobnie. Tak.

Zobaczy się z nią. Tak będzie lepiej. Może coś~wie, czego nie powiedziała Kubikowi.

Reszta dnia upłynęła równie ponuro. Samolot był stary, wpadli w dwie kolejne burze. Kiedy wylądowali na lotnisku La Guardia w Nowym Jorku, zapadła już noc, ciemne' postacie dreptały przed dworcem, ludzie witali się, inni dźwigali za ciężkie bagaże.

Wreszcie złapał taksówkę i podał adres brooklyński, Zrobiło mu się zimno w zbyt lekkim, przemoczonym ubraniu. Kichnął kilkakrotnie i przestraszył się, że złapał katar. Kiedy był mały, często się przeziębiał. Tony co prawda też każdej zimy przechodził bronchit.

Ten obraz nagle stanął mu przed oczyma: Tony w łóżku, na kołdrze rozrzucone magazyny ilustrowane i kartki pa-, pieru, które pokrywał rysunkami. Trzej bracia spali w jednym pokoju. Między łózkami ledwie można się było przecisnąć.

Czekała go żmudna rozprawa, Matka będzie nalegać, żeby spał u niej. Teraz miała już łazienkę przerobioną z ich dawnego pokoju.

Tuż za sklepem znajdowała się kuchnia, służąca zarazem jako jadalnia i salon, gdzie jego babka spędzała całe dnie w fotelu. Dalej ciemny korytarz prowadził do pokoju, w którym sypiały obie kobiety, odkąd babka zaczęła się bać, że umrze w nocy w czasie snu. W pustej obecnie sypialni staruszki Julia zawsze instalowała odwiedzających, ją synów. Do dziś zalegał tam zapach, którego Eddie nigdy nie mógł znieść.

Zapukał w szybę taksówki, kazał jechać do Hotelu 'Świę- iego Jerzego, największego hotelu w Brooklynie, oddalonego tylko o trzy bloki od ich mieszkania. Wynajął pokój i zostawił walizkę, W Harrisburgu przed odlotem coś przekąsił i nie był głodny. Wypił tylko przy barze filiżankę kawy i znowu pojechał taksówką, bo ciągle jeszcze padało.

Skład z warzywami obok sklepu, który prowadziła teraz jego matka, został przebudowany. Sprzedawano tam jeszcze warzywa i artykuły spożywcze, ale wystawę unowocześniono, ściany pokryto białymi kafelkami i przez całą dobę, nawet przy drzwiach zamkniętych na głucho, wewnątrz było jasno oświetlone neonowymi lampami.

Dochodziła jedenasta. Tylko bary były jeszcze otwarte

i sala bilardowa naprzeciwko, gdzie miejscowa młodzież zadawała szyku, udając niebezpiecznych bandytów.

W sklepiku z cukierkami i wodą sodową zgaszono już światło. Ale panował w nim półmrok, bo drzwi w głębi były uchylone. Obie kobiety siedziały w kuchni przy lampie i bez tej szpary w drzwiach byłoby im duszno. Eddie nawet stąd mógł dostrzec spódnice i nogi matki.

Lada na lewo nie zmieniła się; dalej stały przed nią cztery taborety przyśrubowane do podłogi, a na niej aparaty do napojów gazowanych i chromowane pokrywy na pojemnikach z lodami. Po drugiej stronie leżały rzędem cukierki wszelkich gatunków, czekolada, guma do żucia, a pod ścianą w głębi widniały trzy automaty z mechanicznymi kręglami.

Wahał się jeszcze, czy ma zapukać. W sklepie nie było dzwonka. Każdy z braci miał swoisty sposób pukania w szybę. Wydawało mu się, że ulica jest smutniejsza niż dawniej, chociaż przybyło tu światła.

Matka poruszyła się, wstała, znalazła się w jego polu widzenia, na moment odwróciła się w stronę sklepu. Nie mając pewności, czy go nie dostrzegła, Eddie zastukał wreszcie do drzwi.

Nigdy nie zostawiała klucza w zamku. Wiedział, z jakiego kąta bufetu go weźmie. Kie poznała go. Stał w mroku. Przycisnęła twarz do szyby, zmarszczyła czoło. wydała okrzyk, którego nie dosłyszał, otworzyła.

—Dlaczego nie zatelefonowałeś? Przygotowałabym twój pokój.

Nie pocałowała go. W rodzinie Rico nie było tego zwyczaju. Spojrzała mu na rękę.

—Gdzie masz walizkę?

Sklamał: — Zostawiłem na lotnisku. Może jeszcze dziś w nocy wyjadę.

Zawsze była taka jak teraz. W jego oczach nie zmieniła się, odkąd nauczył się chodzić. Zawsze miała nogi trochę spuchnięte, ciężki brzuch, duże piersi chwiejące się w staniku. Zawsze ubierała się na szaro „To się mniej brudzi” — tłumaczyła.

Przywitał się z babką, która go wzięła za Ginę. Zdarzy

ło się to pierwszy raz i Eddie spojrzał pytająco na matkę, która dała mu znak, żeby nie zwracał na to uwagi.

Przytknęła palec do czoła, pokazując, że starowina zaczyna tracić pamięć.

Otworzyła lodówkę, wyjęła z niej salami, sałatkę z kartofli, faszerywaną paprykę, ustawiła wszystko na stole przykrytym ceratą.

— Dostałeś mój list?

— Tak.

— Do ciebie też nie napisał?

Zaprzeczył ruchem głowy. Żeby nie sprawić jej przykrości, zmuszał się do jedzenia, do picia chianti, którego mu nałaza do dużej, grubej szklanki; takich szklanek nie widział nigdzie poza domem.

— I dlatego tu jesteś?

Wolałby z nią mówić szczerze, powiedzieć jej całą prawdę, opisać przebieg spotkania z Philem i Sidem Kubi-

kiem, podróż do White Cloud. Rozmowa byłaby o wiele łatwiejsza, ulżyłoby mu, zdjęło z serca wielki ciężar.

Nie ośmielił się. Zaprzeczył. Kiedy dalej patrzyła na niego pytająco, dodał:

— Musiałem się tu z kimś zobaczyć. ^

— Oni cię wezwali?

— W pewnym sensie. Ale nie z tego powodu. Nie o to im specjalnie chodziło.

— Co ci powiedzieli? Widziałeś się już z nimi?

— Jeszcze nie.

Wierzyła mu tylko częściowo. Zawsze wierzyła ludziom tylko do pewnego stopnia, zwłaszcza swoim synom, przede wszystkim Eddiemu^ który nie mógł zrozumieć dlaczego, bo on z całej trójki najmniej jej kłamał.

— Myślisz, że zasadzili się na niego?

— Nic mu nic zrobią.  
— - Tutaj Inaczej o tym myślą.  
i-M — Widziałem się z ojcem jego żony.  
I- — Skąd wiedziałeś, jak się nazywa? Bo ja nie wiem.  
||r Kto ci powiedział?  
£•.; — Jeden taki, przyjechał na parę tygodni do Santa

Clara.

— Joe?

Wiedziała więcej, niż przypuszczał. Tak było z nią zaw- jif-sze. Docierały do niej najdrobniejsze plotki. Miała specjal-<sup>A</sup>ny dar odgadywania prawdy.

— Nie ufaj mu. Znam go. Przychodził tu często na lody kilka lat temu, kiedy się jeszcze bawił na ulicy. To fałszywiec.

. — Też tak sądzę.

— Co ci powiedział? Skąd wie?

— Mamo,, daj spokój, nie zadawaj mi tylu pytań. Zachowujesz się jak O'Malley.

Między sobą rozmawiali zawsze mieszaniną włoskiego

i gwary brooklyńskiej. Sierżant O'Malley pracował w dzielnicy od przeszło dwudziestu lat i bracia nie cierpieli go od dzieciństwa.

— Po prostu mówię, że widziałem się-z jej ojcem. Rzeczywiście Tony i jego żona odwiedzili go przed dwoma czy trzema miesiącami. Miał tam starą, pogruchotaną ciężarówkę. Podobno Tony w trzy dni ją naprawił i teść dał mu ją w prezencie.

Babka, która ogłuchła i praktycznie nric już nie słyszała, kiwała głową, jakby z zainteresowaniem brała udział w rozmowie. Stosowała tę sztuczkę od lat i zdarzało się, że zmyleni tym ludzie wygłaszali do niej całe przemówienia.

i

Dlaczego Julia nagle się uśmiechnęła?

— To duża ciężarówka?

— Nie pytałem. Chyba tak. Na farmach nie używają małych furgonetek.

— No, to twój brat sobie poradzi.

Nie mówiła mu wszystkiego, czuł to, coś ją ucieszyło, zerkała na niego ukradkiem, zastanawiając się czyba, czy ma się z nim podzielić swoim odkryciem.

— Pamiętasz jego zapalenie płuc?

Słyszał o tym często, ale prawdę mówiąc sam pamiętał niewiele. Nałożyło się na liczne bronchity Tcny'ego. W tym okresie zresztą Eddie, wówczas piętnastoletni, rzadko pokazywał się w domu.

— Lekarz powiedział, że potrzebuje świeżego powietrza, żeby przyjść do siebie. Syn Józefiny...

Zrozumiał. Sam też omal się nie uśmiechnął. Józefina była to sąsiadka, która chodziła na posługi i od czasu do czasu pomagała Julii przy większym sprzątaniu. Miała sy> na, Eddie nie pamiętał, jak się nazywał, który pojechał na zachód. Uprawiał tam ziemię. Józefina twierdziła, że wie mu się dobrze, że się ożenił, ma dziecko i chce ją do siebie ściągnąć. Nazwy miejscowości też nie mógł sobie przypomnieć. Było to gdzieś w południowej Kalifornii.

Syn istotnie pewnego dnia przyjechał po matkę. Józefina nalegała, żeby Tony, który ciągle jeszcze niedomagał, pojechał z nim na kilka miesięcy, bo zawsze miała do niego słabość.

Eddie nie pamiętał dokładnie wszystkich okoliczności. Ale Tony był poza domem blisko rok. Z tego okresu pochodziło jego zamiłowanie do mechaniki. Miał zaledwie jedenaście lat i twierdził, że syn Józefiny pozwalał mu sa-



memu jeździć po połach Hężnrówką. Często mówił o I:»(\* tych stronach.

— Majij rorznr trzy lub catery zbiory nowalijek i owq. ców, Jedyny problem to transport.

Eddie usłyszał głos matki.

— Założę się, że jest gdzieś w okolicy El Centro.

Tak nazywało się to miasto. Lekko zawstydzony odwrócił głowę.

— Nic jesz więcej?

— Jadłtm kolację przed przyjściem.

— Nie wyjeżdżasz od razu?

— Nie, nie od razu.

Wolałby już iść. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się rów. nie obco w tym pokoju, tak mu przecież dobrze znanym.

1 nigdy nie czuł się przy matce tak bardzo jak .smarkacz.

— Kiedy wracasz na Florydę?

— Jutro.

— Myślałam, że masz się z kimś spotkać.?

— Spotkam się jutro rano.

— Nie widziałeś w Miami Sida Kubika?

Wolał powiedzieć, że nie, bo bał się zaplatać. Nie bardzo wiedział, Jak ma się zachować. Nie był na swoim terenie.

— To dziwne, że Gino też jest akurat w Kalifornii.

— Rzeczywiście to ciekawe.

— I^epko wyglądasz,

— Zaziębiłem się chyba podczas burzy.

Chianti było ciepławe, gęste.

— Czas już na mnie.

Stała w progu patrząc za nim i nie spodobało mu się ostatnie spojrzenie, jakim go obrzuciła

Ile już razy w życiu wychodził t trgo domu, o tej samej późnej godzinie, i matka lekko wychylona patrzyła z progu, jak się oddala? Powtarzały się nawet przypadkowo szczegóły, na przykład to, że deszcz przestał padać. Mawiała wówczas:

— Czekaj przynajmniej, aż przestanie padać.

Ile razy widział deszcz, wysychający na chodnikach, i kałuże wody, które — przysięglby — były zawsze w tych samych miejscach! Niektóre sklepy nie zmieniły się. Był tu taki róg ulicy, drugi od domu, gdzie niegdyś bez żadnego istotnego powodu zawsze spodziewał się zasadzki. Poczul niemal to samo ukłucie w piersiach, jakiego doznawał wówczas, w chwili kiedy zagłębiał się w strefę mroku.

Odnajdywał te wspomnienia hez radości. To była Jego dzielnica. Wyrósł pomiędzy tymi domami, które znały go

i powinny pamiętać. I oto nagle można by powiedzieć, te się tego wstydzi. Nie za domy, Raczej za siebie. Nie umiałby tego wytłumaczyć. Jego brat Gino, na przykład, był jeszcze tutejszy. Nawet Sid Kubik, który stał się ważną osobistością, mógłby tu wrócić bez żadnych zahamowań Nie pierwszy raz tej nocy Eddie posepniał wśród scenerii swojego dzieciństwa. Często jadąc tu, już w pociągu czy samolocie cieszył się szczerze, wyobrażając sobie, że odnajdzie klimat przeszłości. Potem na ulicy, w domu matki odczuwał zawód. Nie był wzruszony. Ani on, ani ci, z którymi się stykał.

Przyjmowano go jak najserdeczniej. Zastawiano stół. Nalewano wina. Ale patrzono ría niego inaczej niż na Giną czy Tonv'ego.

Chciałby z całego serca spotkać się z dawnymi pnyja-

ciółmi, Ale nigdy nie miał prawdziwych przyjaciół. To jego wina. Wszyscy oni byli inni niż on.

A przecież był rzetelny. Przestrzegał reguły. Nie ze strachu, jak większość z nich, ale ponieważ rozumiał jej nie, odzowność.

Jak na ironię, właśnie do niego matka odnosiła się z pewną rezerwą, z podejrzliwością nawet. Dziś wieczór też. Zwłaszcza dziś wieczór.

Niedaleko były światła Flushing Avenue. Zanim tam do. szedł, jakiś policjant obejrzał się za nim. Starszy mężczyzna. Eddie go nie pamiętał, ale był pewien, że policjant go

Dotarł do rzeźniczej oświetlonej ulicy, pełnej barów, restauracji, sklepów jeszcze otwartych; roilo się tu od par spacerujących po chodnikach, hałaśliwych grupki żołnie-; rzy i marynarzy w towarzystwie dziewcząt; fotografowano się w automatach, jedzono parówki, popisywano się zręcznością w strzelnicach.

Przyrzekł sobie, że wróci natychmiast do . hotelu i położy się spać. Nie może od razu wyjechać. Musi odpocząć. Zresztą zostało mu w kieszeni tylko dwieście dolarów

i musi zrealizować czek w banku. Zachował konto w Banku Brooklyńskim. Miał konta w różnych bankach, jego interesy tego wymagały.

Alicja i dzieci śpią — nagle wydało mu się, że są bardzo daleko i być może nigdy ich już nie zobaczy, nie odnajdzie swego, domu, nie wróci do życia, które tak cierpliwie i starannie sobie układał. Ogarnął go popłoch. Omal nie uległ szaleńczej chęci natychmiastowego powrotu, bez względu na Tońy'ego, Sida Kubika, Phila i wszystkich innych. Wzbierał w nim bunt. Nikt nie ma prawa burzyć mu życia.

Ulica była do złudzenia taka sama jak dawniej. Zapachy rwłaszcza — za każdym razem kiedy zbliżał się do stoiska z parówkami lub do restauracji. I odgłosy, muzyka dochodząca z sal tanecznych.

Kiedy tu mieszkał, był w wieku tych żołnierzy, którzy śmiejąc się roztręcali przechodniów, i tych chłopców, którzy z papierosami w ustach, z rękami w kie^niach, przemykali się przed wystawami z tajemnicza m.

Jakiś samochód jechał wzdłuż chodnika w jeg<\* stronę. Twarz kierowcy była mu znajoma, ktoś wysunął rękę przez otwarte okno, pokiwał, wóz zahamował.

To Bill, też brooklyńczyk jak i on, z dwiema dziewczynami obok na siedzeniu. Z tyłu w półmroku była jeszcze jedna para, dziewczyna i mężczyzna, którego Rico nie znał. Bill nie wysiadł z wozu.

— Co ty tu robisz?

— Przejeżdżając wpadłem do matki.

Bill odwrócił się do dziewcząt i wyjaśnił:

— To brat Tony'ego.

A do niego:

— Dawno przyjechałeś? Myślałem, że jesteś gdzieś na południu, w Luizjanie, co?

— Na Florydzie.

— Właśnie, na Florydzie. Dobrze ci tam?

Eddie nie lubił Billa, który próbował udawać ważnia- ka. Był hałaśliwy, zaczepny, zawsze otoczony kobietami, przed którymi się puszył. Jaką miał rangę w organizacji? Na pewno niespecjalnie wysoką. Kręcił się koło doków, miał kontakty ze związkami zawodowymi. Eddie podejrzewał, że pożyczka na lichwiarski procent pieniądze dokerom

i skupuje od nich kradziony towar.

— Napijesz się z nami?

Nie było to zaproszenie ze szczerego serca. Bill zatrzymał się tylko z ciekawości i nawet nie zgasił silnika.

— Zasuwamy do ManhaUnnu. Do knajpki na Dwudziestej Ulicy, gdzie dziewczyny tańczą goło.

— Dziękuję, idę spać.

— Jak sobie chcesz. Masz wiadomości od Tony'ego?

— Nie.

Na tym się skończyło. Wóz pomknął po asfalcie i Bill teraz na pewno mówił coś o nim swoim pasażerom i mężczyźnie na tylnym siedzeniu. Co im powiedział? Eddie rzadko odczuwał potrzebę towarzystwa innych ludzi. Nieczęsto przeżywał chwile słabości. Dziś jednak, mimo postanowienia, jakoś nie kwapił się do hotelu. Miał ochotę porozmawiać z kimś sympatycznym i życzliwym.

Przypominaj sobie nazwiska i twarze, które mógłby odnaleźć pchnąwszy drzwi do któregośkolwiek baru czy restauracji na tej ulicy. Ale nikt nie wydawał mu się odpowiedni, nikt nie dałby mu tego, czego szukał.

Dopiero kiedy dobiegi do niego zapach czosnku, przypomniał sobie o Pepie; Pep Fasoli, gruby chłoptuś, z którym kolegował w szkole, miał tu mały bar otwarty przez całą dobę.

Lokal był skromniutki, cały mieścił się w wąskim i długim korytarzu, z bufetem i paroma stolikami, oddzielnymi przez przepierzenia, gdzie podawano spaghetti, parówki i hamburgery.

Zdarzało się, że na Florydzie, jedząc z Alicją spaghetti we włoskiej restauracji, mówił z nutą tęsknoty w głosie:

— To nie to, co daje Fasoli.

Poczuł się głodny, wszedł do środka. Za bufetem dwóch kucharzy w poplamionych bluzach przyciskała przyciski elektrycznych. Kelnerki w czarnych sukienkach i białych fartuszkach krzątały się wśród gości, z ołówkami za uchem. Jakby przyjąwszy zamówienie wpinały je sobie we włosy jak grzebień.

Połowa miejsc była zajęta. Lokal rozbrzmiewał sentymentalną melodią z płyty. Pep też był w stroju kucharza, mniejszy i grubszy niż go Eddie zachował we wspomnieniu. Musiał poznać Eddiego, kiedy ten sadził się na jednym z taboretów, ale nie rzucił się do niego z wyciągniętą ręką. Może zawahał się, czy ma w ogóle podziękować.<sup>1</sup>

— Wiedziałem, że jesteś w dzielnicy, ale nie byłem pewien, czy do mnie wstąpisz.

Normalnie Pep nie był tak powściągliwy.

— Jakim cudem dowiedziałeś się, że jestem w Brooklynie?

— Ktoś cię widział, jak wchodziłeś do matki. Zaniepokoiło go to. Kilkakrotnie odwracał się na ulic'J, żeby sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Nie zauważył nikogo. Kiedy wychodził z domu, ulica też była pusta.

— Kto?

Pep zrobił niewyraźny gest.

— Za dużo ode mnie wymagasz doprawdy. Tyle ludzi się tu kręci!

To nie była prawda. Pep dobrze wiedział, kłó mu to mówił. Dlaczego chciał to ukryć?

— Zjesz coś? Spaghetti ekstra?

Traktował go jak zwykłego klienta. Eddie powinien był odpowiedzieć, że nie, że już jadł. Ale nie ośmielił się.

Tak samo jak wtedy, kiedy matka nalewała mu chianti. Pep mógł się obrazić.

Skinął twierdząco głową i Fasoli odwrócił się, żeby przekazać zamówienie jednemu z dwóch kucharzy

— Nie wyglądasz dobrze.

Powiedział to naumyślnie? Eddie i tak przesadnie przejmował się swoim zdrowiem. Ściana naprzeciwko była obwieszona lustrami, na których kredą wypisano nazwy potraw. Powierzchnia lustra, vis à vis którego siedział, zasła parą, zresztą było to na pewno kiepskie lustro. Eddie widział w nim swoją twarz, bledszą niż zwykle, podkrążone oczy, bezbarwne wargi. Zdawało mu się nawet, że ma nos lekko skrzywiony, jak Gino.

— Masz wiadomości od Tony ego?

Wszyscy wiedzieli- Wszyscy byli wtajemniczeni. Jakby brali udział w spisku. I każdy, zadając mu to pytanie, przyglądał mu się w specjalny sposób, jakby podejrzewał go o brzydkie zamiary.

— Nie pisał do mnie.

— Hm.

Pep nie nalegał, odszedł do kasy, na której wybił jakąś sumę.

— Jedziesz do domu? — Wróciwszy do niego po chwili spytał zdawkowo, jakby odpowiedź wcale go nie obchodziła.

— Nie wiem jeszcze kiedy.

Podano mu spaghetti z pikantnym sosem, którego zapach wzbudził w nim odrazę. Nie był już głodny, zmuszał się do jedzenia,

— Kawę expresso?

— Proszę bardzo.

Dwóch młodzieńców, po drugiej stronie bufetu, przyglądało mu się natarczywie i Eddie był pewien, że rozmawiają o nim. Dla nich był ważną osobistością. Zaczynali dopiero — byli na samym dole drabiny — i, jako chłopcy i a posyłki, dostawali od czasu do czasu pięć dolarów za drobną usługę.

A

m

"2\*

Kiedy indziej ich zainteresowanie sprawiłoby mu przyjemność. Dziś nie wiedział, jak się ma zachować. Nie podobał mu się też wcale sposób, w jaki Pep kręcił się koło niego. Pepa, zważywszy wszystko, mógł bardziej niż kogokolwiek innego uważać za przyjaciela. Zwierzał mu »p nawet pewnej księżycowej nocy, podczas której bez korca Jaziii po ulicy, dawno temu, kiedy obaj mieli po szesnaście, siedemnaście lat. Jemu właśnie mówił o regule, o jej niezbędności, o głupocie tych, którzy się jej nie podporządkowują, i o niebezpieczeństwie, jakim to grozi.

— Nie smakuje ci?

— Bardzo smakuje.

Eddie zmusił się do zjedzenia całego talerza spaghetti, które zostawiło mu w ustach posmak przypalonej frytury

i zbyt dużej ilości czosnku. Nie powinien był zachodzić do Pepa. Nie powinien był odwiedzać matki.

Co stałoby się, gdyby wrócił do Santa Clara i zadzwonił zwyczajnie do Sida Kubika, że nie trafił na ślad brata? Był zbyt skrupulatny,

— Ile płacę?

— Zostaw...

— Nie, dlaczego? Nie ma powodu.

Pozwolono mu zapłacić. Po raz pierwszy. I dlatego też poczuł się bardziej obco.

Nie umiał określić, czy to dawni znajomi go się wyparli, czy sam się od nich odsunął. Jego hotel był niedaleko,

o dwie przecznice stąd. Postanowił tam wrócić, dłużej już nie zwlekając, i mimo to zaszedł jeszcze do baru. Przypomnił sobie mgliście dawnego barmana, z którym czasem rozgrywał partyjkę kości. Teraz pracował tu inny. Właściciel też był nowy. Bufet był ciemny, ściany pokryte brązową boazerią, obwieszone sztychami z wyścigów, fotosa-

ni i dżokejów\* i bokserów. Niektóre z tych zdjęć pochodziły 7. dawnych czasów. Rozpoznał kilku bokserów, których lansował jeszcze stary Mossie, bo Mossie zaczynał jako właściciel hali sportowej.

Wskazał na kran od beczki z piwem.

— Poproś jasne.

Barman go nie znał. Ani człowiek, mocno już zawiany, który obok pił whisky. Ani para siedząca w głębi sali i zachowująca się z maksymalną swobodą, na jaką można sobie pozwolić w miejscu publicznym.

Mało brakowało, by po raz drugi zadzwonił do Alicji.

— Jeszcze raz to samo!

Poprawił się.

— Nie! Niech będzie żytniówka. «

Wzięła go nagle chętką na alkohol, której, wiedział aż za dobrze, nie należało ulegać. Rzadko mu się to zdarzało.

Są ludzie, którym to dobrze robi. On upijał się na smutno

i podejrzliwie. Dochodziła druga w nocy i padał na nos ze zmęczenia. Uparcie nie odchodził od baru, choć nawet pijak obok nie odezwał się do niego ani słowem.

— Jeszcze raz to samo!

Wypił cztery żytniówki. Tu też miał naprzeciwko lustro, w którym widział swoją twarz. Nie wyglądał dobrze. Policzki i podbródek upstrzone były nie golonym od rana zarostem. Broda rosła mu szybko. Czytał gdzieś, że rośnie szybciej na twarzach nieboszczyków niż u żywych ludzi.

W końcu dobrnął do hotelu, wlokąc się powoli, przekonany za każdym razem, kiedy słyszał za sobą kroki, że to ktoś, komu Phil kazał go śledzić. W kącie hallu, w którym prawie wszystkie światła były już wygaszone, dwóch mężczyzn rozmawiało półgłosem. Podnieśli głowy patrząc, jak idzie do windy. Czy byli tu z jego powodu? Nie znał ich,

ale jest mnóstwo ludzi, których nie zna, a którzy jego znają. Jest przecież Eddiem Rico!

Kusiło go, żeby stanąć przed nimi i zawołać: „Jestem Eddie Rico. Czego się mnie czepiacie?”

Chłopiec od windy uprzedzi! go.

— Uwaga na stopień.

— Dziękuję, młodzieńcze.

• Spal źle, wstawał dwa razy, żeby napić się wody. obudził się ponury, z bólem głowy. Zadzwonił z pokoju do biura podróży.

— El Centro. Tak. W Kalifornii. Najbliższy samolot. Odlot miał nastąpić o dwunastej, wszystkie miejsca były już zajęte.

— Są zarezerwowane na trzy dni z góry. Ale jeśli pan przyjdzie pół godziny przed startera, najprawdopodobniej dostanie pan bilet. Rzadko się zdarza, żeby ktoś nie zrezygnował w ostatniej chwili.

' Na dworze świeciło słońce, bledsze, delikatniejsze niż na Florydzie, w powietrzu unosiła się przejrzysta mgiełka.

Kazał sobie przynieść śniadanie, zjadł tylko parę kęsów i zadzwonił po drugi dzbanek kawy. Potem zatelefonował do Alicji O tej porze na pewno sprzątała pokoje, razem z Lois, małą Murzynką, która słała łóżka, i Babe, która kręciła się koło nich, wszystkiego dotykając.

—• To ty? W domu wszystko w porządku?

— Tak, wszystko dobrze.

— Nie było do mnie telefonów?

— Nie. Babe oparzyła sobie dziś rano palec, bo dotknęła pieca, ale to nic poważnego. Nawet nie płakała. Widziałeś się z matką?

— Tak.

Nie miał jej nic do powiedzenia, zapytał o pogodę, czy przywieziono nbwe franki do jadalni.

— Jak ty się czujesz? — zaniepokoiła się żona.

— Ależ dobrze.

— Nie jesteś zakatarzony?

— Nie, może zresztą trochę.

— Dzwonisz z hotelu?

— Tak.

— Spotkałeś jakichś przyjaciół?

Dlaczego jej odpowiedział: — Tak. Paru.

— Wrócisz prędko?

— Muszę najpierw coś załatwić. Nie tutaj.

Omal jej nie powiedział, że jedzie do El Centro. To było niebezpieczne. Powstrzymał się w ostatniej chwili. I teraz, gdyby w domu coś się przytrafiło, na przykład którejś z córek, nie wiedzieliby, gdzie go szukać.

— Odłóż, proszę cię, słuchawkę tak, żeby nie przerywać połączenia z Santa Clara, Chcę porozmawiać z Angelem.

Można było to łatwo zrobić. #

— To pan, szefie? .

— „Nie nowego w sklepie?

— Nic szczególnego. Malarze rozpoczęli dziś rano.

■ — Jak Joe’

— Jakoś tam. /

Powiedział to bez entuzjazmu.

— Kłopotliwy?

— Panna Van Ness przywołała go do porządku.

— Próbował z nią?

Joe był chyba pierwszym człowiekiem, który odniósł się bez respektu do panny Van Ness.

— Wycięła mu policzek, po którym jeszcze nie całkiem oprzytomniał.

— Nie próbował wyjść?

— Pierwszego wieczoru grałem z nim w karty do trzeciej rano, a potem zamknąłem drzwi na klucz.

— A teraz?

— Ostatniej nocy widziałem, że go ponosi i że jest gotów wyskoczyć przez okno. Zadzwoiłem do-Bepo.

Mały, niechlujny człowieczek, który miał dom schadzek przy autostradzie między Santa Clara i sąsiednim miastem.

— Przysłał, co było trzeba. Wypili całą butelkę whisky. Dziś ledwo łązi.

O pół do dwunastej Eddie był znowu na lotnisku, z walizką w rękę, niedaleko kasy biletowej.

Przyrzeczono mu pierwsze zwolnione miejsce. Przyglądał się ludziom dookoła, szukając znajomej twarzy, kogoś, kto mógłby być przysłany przez organizację.

Wstąpił po drodze do banku, wziął z konta tysiąc dolarów. Puste kieszenie odbierały mu pewność siebie.

Nie wystarczyła sama książeczka czekowa. Musiał mieć przy sobie gotówkę.

Na lotnisku panience w kasie nie podał swego prawdziwego nazwiska, rzucił pierwsze, jakie mu przyszło do głowy: Philippe Agostini. I kiedy go wywołano, w pierwszej chwili nie zorientował się, że to o niego chodzi.

— Sto sześćdziesiąt dwa dolary. Wypisuję panu bilet. Ma pan bagaż? Proszę przejść na drugą stronę.

Nie wierzył, żeby pozwolili mu wyjechać nie sprawdzając, dokąd jedzie. Odwracał się nieustannie, badał twarze.

Wyglądało na to, że nikt się nim nie interesuje. Ale i ten niezrozumiały brak nadzoru w końcu przejął go niepokojem.

Głos przez megafon poprosił pasażerów jego samolotu

o udanie się do wyjścia Nr 12. Zebrało się tam około dwudziestu osób. Dopiero teraz, w momencie kiedy podawał bilet, poczuł utkwione w siebie oczy. Dosłownie poczuł, zanipi jeszcze je zobaczył, aż zawahał się, ery odwrócić głowę.

Był to wyrostek szesnasta- lub siedemnastoletni, z ciemną, lśniącą czupryną i matową cerą, na pewno Włoch, oparty o przepierzenie i wpatrzony w niego z przebiegłą miną.

Eddie nie znał go, nie mógł go znać, bo kiedy opuszczał Brooklyn, chłopak był jeszcze w pieluchach. Ale na pewno zetknął się z jego rodzicami, bo rysy, wyraz twarzy kogoś mu przypominały. Przez chwilę walczył z pokusą, żeby zmienić decyzję, wsiąść w inny samolot, wszystko jedno dokąd. Nic by to nie dało: gdziekolwiek wyląduje, ktoś będzie na niego czekał na lotnisku.

Zresztą mógł przecież wysiąść po drodze. Czy będą pilnować wszystkich portów?

— Na co pan czeka, proszę przechodzić.

— Przepraszam...

Ruszył za innymi. Chłopak pozostał na tyra samym miejscu, z nie zapalonym papierosem przyklejonym do dolnej wargi.

Samolot wystartował. Przelecieli dość nisko nad nowojorskimi drapaczami i po półgodzinie stewardesa podała lunch. W Waszyngtonie nie było sensu wysiadać. Pracował tutaj. W tłumie, który gromadził się przed barierami lotniska, nie umiałby wytropić człowieka, któremu kazano g\$ pilnować.

Zasnął. Kiedy się obudził, stewardesa roznosiła herbatę; wypił filizankę i iebrało mu się na mdłości.

— Kiedy lądujemy w Nashville?

— Za dwie godziny mniej więcej.

Lecieli wysoko, ponad świetlistą masą chmur, między którymi prr.t.ricrała czasem zieleń równiny, biel farm.

Przejeżdżał przez Na' ;hvi)le wielokrotnie, pociągiem lub samoloiym, ale spędzał tu tylko kii;'a minut postoju, nijdy nie wychodząc z lotniska czy dworuj.

Organizacja nie miała tu swoich ludzi. Miasto było spokojne, interesy na niewielką skalę pozostawiono tute'■ m macherom. A gdyby tu wysiadł? Miałby stąd pocigę? i samoloty we wszystkich kierunkach. I co dalej? Wielcy szefowie wiedzieli, że kupił bilet do El Centro. Czekano tam na niego. Czy przyleci tym samolotem, czy inaczej, już się im nie wymkmo.

Byli równie sprytni jak on. I nieskończenie potężniirsi. Nigdy Eddie nie próbował ich oszukać. Na tym polepią jego siła. Dzięki temu zdobył swoją pozycję. Czy mając szesnaście lat, kiedy inni przeważnie bawią się w bandytów, nie mówił już z szacunkiem o regule, spacerując z Pepem w blasku księżycy?

Przylapał się na tym, że myśli z niechęcią o Tonym. Właściwie to przez niego wpadł w kłopoty. Eddie zawsze uważał, że bardzo kocha braci, zwłaszcza Tony'ego, bo byli do siebie podobniejsi.

Ale matkę też bardzo kochał, a wczorajsza wizyta u niej wcale go nie wzruszyła. Nie umieli się porozumieć. Zirytował go sposób, w jaki go podpatrywała.

Nigdy nie czuł się tak samotny. Nawet Alicja wydawała mu się mniej rzeczywista. Nie mógł sohie po prostu wyobrazić, że krząta się w domu, że ten dom należy do niego, że co rano budziły go w nim kosy podskakujące na murawie, a potem szczebiot Babe.

Gdzie było jego miejsce? W Brooklynie nie czuł się

u siebie. A przecież na Florydzie byle nazwisko stamtąd przypadkowo zasłyszane budziło w nim nostalgię. Nie uiał Bostońskiemu Philowi, żywił do niego antypatię, bo Phil nie pochodził z Brooklynu. Nie spędził dzieciństwa na tych samych ulicach, w ten sam sposób, nie jadał tych samych potraw, nie mówił tym samym językiem.

W gruncie rzeczy o to w sumie chodziło: Bostoński Phil był inny, był skądinąd. Natomiast Sid Kubik, który wyrósł dziś na wielkiego szefa, a nawet ten rudy Joe, są mu jakby bliżsi. Więc dlaczego od nich ucieka?

Dlaczego czepia się myślą obrazów z Florydy? Najgorsze było, że teraz i jedno, i drugie okazało się chwiejne, że nigdzie już nie znajdował oparcia.

Był całkiem sam, tu, w tym samolocie, i groziło mu, że gdziekolwiek wyląduje, będzie uważany za obcego, jeśli nie za wroga.

Nie wysiadł w Nashville. Nie wysiadł też w Tulsa, z daleka tylko zobaczył światła miasta w mroku nocy. Przesłał myśleć. Odłożył wszelkie decyzje na potem. Niebo było jednolicie granatowe, pełne dalekich gwiazd, migocących ironicznie.

Zdrzemnął się na chwilę. Obudził go świt, dookoła spało jeszcze kilkanaście osób. Kobieta karmiąca piersią niemowlę spojrzała na niego wyzywająco. Dlaczego? Czy wygląda na człowieka, który ukradkiem zerka oblesnie na pierś karmiącej matki?

W dole roztacza się bezkresna, ruda równina, na której gdzieniegdzie wznoszą się złotawe góry, o załamach iskrzących się połyskliwą bielą.

— Kawa? Herbata?

Wziął kawę. W Tucson wysiadł z samolotu, żeby przesiąść się do mniejszego, który ieciał do El Centro, i prze

sunął zegarek, różniący się już o trzy godziny od zegara na lotnisku. Widać tu było głównie mężczyzn w jasnych kowbojskich kapeluszach i obcisłych spodniach. Przeważał typ meksykański.

— Cześć, Eddie!

Drgnął. Ktoś go klepnął w ramię. Na próżno szukał w pamięci nazwiska człowieka, który wesoło uśmiechnięty wyciągał do niego rękę. Znał go skądś, nie z Brooklynu, chyba ze środkowego zachodu, z Saint Louis lub z Kansas City. Jeśli się nie mylił, był wtedy barmanem w klubie nocnym.

— Miałeś dobrą podróż?

— Niezłą.

— Powiedziano mi, że będziesz tu przejazdem, więc wyszedłem ci na spotkanie.

— Dziękuję.

— Mieszkam o dziesięć mil stąd, mam tu knajpkę, która całkiem dobrze idzie. Lubią hazard w tych stronach.

— Kto ci powiedział...

Natychmiast pożałował.-Po co zadawać pytania?

— Już nie pamiętam. Wiesz, jak rozchodzą się te plotki. Dziś w nocy podczas gry ktoś tam mówił o tobie i twoim bracie.

— Którym?

— No, tym...

Z kolei tamten ugryzł się w język. Czy miał zamiar powiedzieć: „O tym, który narobił głupstw?” Znalazł formułkę:

— O tym, który się ostatnio ożenił.

Przypomniał sobie; facet nazywał się Bob i pracowa;

w Saint Louis w „Liberty”, która wtedy należała do Stie- ga.



Nic warło zpnis/ać cii; do baru r>a lotnisku. Dują III tylko l<mvę i wodę sodową. Przyniosłem ci lu coś dla ducha. Wepchnął mu w rękę płaską butelki;

-• Dziękuję.

Nie będzie tc.no pił. liniejka nagrzała sir; w kieszeni tamtego, ale wolni nie odmawiać,

- Podobno dobrze ci się wiedzie w Santa Clara?

• Nic najgorzej.

- Policja?

W porządku.

- Zawsze to powtarzam. Najważniejsze jest...

Eddie nie słuchnl wienie, kiwał aprobująco głową. Poczul ul^ę, kiedy w końcu wezwano pasażerów do samolotu.

- Ciosze\* się, że miałem okazję ci uścisnąć dłoń. Jeśli będziesz tędy wracał, wpadnij do mnie.

Jeszcze tylko dwa lądowania. Phoenix i Yuma. Za trzecim razem będzie to już lotnisko El Centro. Dłoń Boba była mokra od potu. Ciągłe się uśmiechał. Jasne, że za chwilę rzuci się do telefonu.

- Powodzenia!

Prawie cały czas lecieli nad pustynią. Potem, bez żadnego przejścia — granica była zupełnie wyraźna — pokazały się pola poprzecinane kanałami i jasne domy zwrócone wszystkie w tę samą stronę. Lecieli teraz nad szosą, po której jedna za drugą ciągnęły ciężarówki, bez chwili przerwy dowożące do miasta skrzynie z warzywami. Było ich również pełno na bocznych drogach, nieco węższych, które łączyły się z główną arterią, pustę pojazdy zdążyły w odwrotną stronę i widok z góry przypominał mrowisko.

O ile byłoby lepiej, gdyby samolot nie wylądował, gdyby leciał dalej aż do Pacyfiku, który był już tylko o godzinę drogi.

oe

„Zapiąć pasy” - zapaliły się ruiptey na tablicach.

Zapiął swój i w pięć minut potem, ledwie koła j«. tknęły się z betonową nawierzchnią, już go znowu odpinał.

Nie spostrzegł żadnej znajomej twarzy. Nikt go nie\* poklepał po ramieniu. Były lu kobiety, mężczyźni, oczekujący kogoś lub czekający na następny .samolot. Pary całowały się. Jakiś ojciec szedł do wyjścia trzymając dwoje dzieci za ręce, podczas gdy jego żonn dreptała za nim, na próżno usiłując coś mu powiedzieć.

— Bagażowy, proszę pana?

Oddał Murzynowi walizkę.

Taksówka?

Było goręcej niż na Florydzie, upał był inny, jakby jaskrawszy, i słońce paliło w oczy.

Wziął pierwszą z brzegu taksówkę. Przez cały czas starał się zachowywać spokojnie, obojętnie — był pewien, że jest obserwowany.

— Do hotelu.

— Jakiego?

— Najlepszego.

Wóz ruszył i Eddie zamknął z westchnieniem oczy.

6

Tej nocy miał sen najbardziej przygnębiający w życiu. Rzadko miewał koszmary. Ostatnio coraz rzadziej i zawsze prawie powtarzała się w nich ta sama sytuacja: budzi się nie wiedząc, gdzie jest, otoczony nieznanymi ludźmi, którzy nie zwracają na niego uwagi. Nazywał to w myślach

snom eziijwioka zagubionego. Bo oczywiście nigdy nie mówi! o tym nikomu.

Dzisiejszy sen nie miał z tamtymi nic wspólnego. W hotelu poczuł się nagle ogromnie zmęczony, jakby przez pory jego skóry przeniknęło całe słońce pustyni. Nie czekając, a: zapadnie wieczór, nie jedząc nic, położył się do łóżka. Hotel „El Presidio”, który kierowca taksówki uznał za najlepszy w mieście, był zbudowany w stylu zbliżonym do mauretańskiego. Całe centrum miasta zdawało się pochodzić jeszcze z hiszpańskich czasów i domy pokryte były żółtym tynkiem, wypalonym przez słoneczny żar. Dobiegały do niego wszystkie odgłosy z zewnątrz, a niewiele znał ulic tak hałaśliwych, nawet w Nowym Jorku. Mimo to zasnął natychmiast. Może najpierw śniło mu się coś innego, jego ciało nadal kołysało się w rytmie samolotu, chyba o samolot chodziło, ale ten sen się rozproszył i Eddie nie pamiętał go po obudzeniu. A sen o Tonym zapamiętał w najdrobniejszych szczegółach. Pod pewnym względem był on zresztą niezwykle: cały w kolorach, jak niektóre filmy, występowały w nim tylko dwie postacie czarno-białe, Tony i ojciec.

Na początku sen działał się wyraźnie w Santa Clara, u niego, w jego domu, który nazwał „Powiem Morza”. Było wcześniej rano. Wyszedł w pizamie, aby wyjąć pocztę ze skrzynki na skraju chodnika. W rzeczywistości mu się to nie zdarzało. Dwa czy trzy razy nie zdążył się ubrać, bo obudził się bardzo późno, ale i wtedy zawsze wkładał szlafrok.

We śnie w skrzynce do listów było coś niesłuchanie ważnego. Musiał to wyjąć natychmiast.

Alicja też tak uważała. Szepnęła nawet:

— Powinieneś wziąć ze sobą rewolwer.

Ale go nie wziął. Okazało się, że tą ważną rzeczą w skrzynce jest jego brat Tony.

Najdziwniejsze było, że w tym momencie zdawał sobie doskonale sprawę, że to niemożliwe i że na pewno mu się to śni. Skrzynka z posrebrzanego metalu, z wymalowanym na wierzchu jego nazwiskiem, jak wszystkie amerykańskie skrzynki na listy, nie była większa niż strona gazety. Zresztą początkowo nie był to właściwie Tony, ale szara gumowa lalka, którą znał, bo zabrał ją mając cztery czy pięć lat mając dziewczynce z sąsiedztwa. Ukradł po prostu. Przywłaszczył sobie, mimo że wcale nie miał na nią ochoty. I długo trzymał ją w szufladzie u siebie w pokoju. Może nawet matka ma ją jeszcze w kufrze, w którym przechowuje zabawki swoich trzech synów? Więc nawet we śnie wiedział, o co chodzi. Mógłby wymienić imię dziewczynki. Nie popełnił tej kradzieży dla przyjemności, ale żeby popełnić kradzież, bo uważał, że to konieczne.

Naraz obraz się przesunął bez żadnego przejścia. Lalka nie była już lalką, ale jego bratem Tonym i wcale go to nie zdziwiło. Wiedział o tym z góry.

Tony był tak samo gąbczasty jak lalka, tak samo popielatoszary i nie ulegało wątpliwości, że jest martwy.

— Ty mnie zabiłeś — mówił z uśmiechem.

Bez złości. Bez goryczy. Mówił nie otwierając ust. Właściwie nie mówił naprawdę. Nie wydawał dźwięków jak w życiu, ale Eddie mimo to słyszał słowa.

— Bardzo cię przepraszam — odpowiedział. — Wejdz,

Dopiero wtedy zauważył, że jego brat nie jest sam.

Przyprowadził jako świadka ich ojca. I ojciec też był gąbczasty i też uśmiechał się łagodnie.

Eddie dopytywał się, co u niego słyhać, i ojciec kręcił głową w milczeniu. Tony powiedział:

—Pr.: 'vivic'- wiesz, że jest głuchy.

To chyba było najbardziej wstrząsające w całym śnie. Zdawał<sup>o</sup>obio z tego jasno sprawi;, na marginesie snu snuł trzeźwe refleksje.

Matka nigdy ani słowem nie napomknęła przed nimi, że ojciec jest głuchy, inni też nie. Może nikt tego nie zauważył? Eddie był teraz pewien, że dokonał odkrycia. Zachował w pamięci obraz ojca jako spokojnego człowieka, z głową zawsze lekko przechyloną na bok i z dziwnym, skierowanym do wewnątrz uśmiechem na ustach. Prawie nic nie mówił, robił, co do niego należało od rana do wieczora, z niewyczerpaną cierpliwością, jakby do tego został stworzony, i nigdy nawet nie pomyślał, że mógłby postępować inaczej.

Matka na pewno by zaprotestowała, że były to dziecinne urojenia, że jej mąż nie różnił się od innych ludzi, ale Eddie był pew<sup>7</sup>ien, że to on ma rację.

Cesare Rico żył we własnym, odrębnym świecie i dopiero sen po wielu latach podsuwał jego synowi 'wytłumaczenie: Cesare był głuchy.

— Wejźmy do środka — zapraszał Eddie, speszony swoją pizamą. I w tym momencie sceneria się zmieniła. Weszli gdzieś wszyscy we trójkę, ale nie była to biała willa w Santa Clara. Kiedy znaleźli się w środku, okazało się, że są w kuchni w Brooklynie, gdzie na fotelu siedzi babka i na stole stoi butelka chianti.

— Nie mani ci tego za złe — mówił Tony.. — Ale jaka szkoda ..

Pomyślał, że najeży ich poczęstować. W domu panował zwyczaj proponowania gościom szklaneczki wina. Przypomnił sobie w sam czas, że Tony i ojciec nie żyją, i wobec tego nie będą mogli się napić.

— Siadajcie.

— Wiesz przecież, że ojciec nigdy nie siada.

Kiedy żył, siadał bu rdzo rzadko, właściwie tylko cV> jedzenia, ale we śnie nabrało to większego znożenia, do\* tyczyło jego charakteru, roli, jaką spełni»!. Nie powinien był siadać. Była to kwestia godności.

— Na co czekamy? pytał nowy głos.

To była matka. Siedziała i pukała w stół łyżeczką, żeby przyciągnąć ich uwagi;.

Eddie zabił brata - powie działa głośno.

A Tony szepnął:

— Najgorzej, że to boli.

Odmłodził. Włosy wiły mu się bardziej niż ostatnio, jeden lok opadł na czoło, jak kiedy miał dziesięć lat. Może znowu miał dziesięć lat? Był bardzo piękny. Zawsze był najładniejszy z całej trójki. Eddie zdawał sobie ? tego sprawę. Nawet taki jak teraz, szaropopielaty i gąbczasty, też był czarujący.

Eddie nie próbował zaprzeczać. Wiedział, że mówią prawdę. Usiłował sobie przypomnieć, jak to się stało, ale na próżno. A nie mógł przecież zadać pytania. Byłoby nieprzyzwoicie spytać: „Jak go zabiłem?”

A na tym właśnie polegało sedno sprawy. Dopóki się nie dowie, nie będzie mógł nic im powiedzieć. Było mu bardzo gorąco, czuł, jak pot spływa mu po czole i zalewa oczy. Włożył rękę do kieszeni, żeby wyjąć chusteczkę, ale wyciągnął tylko płaską butelkę whisky.

— Oto dowód — triumfowała matka.

Wybelkotał:

— Nie piłem z niej wcale,

Chciał jej pokazać, że butelka jest pełna, jak wtedy\* kiedy facet z Tucson wepchnął mu ją do ręki, ale nie mógł

wyciągnąć korku. Bubka przyglądała mu się\* drwiąco. Ona l\*<sup>o</sup>: była głucha. Może to rodzinne, może on też z czasem ogłuchnie?

- To z powodu reguły!

Tony się 7. nim zgadzał. Był raczej po jego stronie. Ojciec też. Ale wszyscy inni, cały tłum był przeciw niemu. Moze zebrał się tłum, Ulica była pełna ludzi, jak podczas rozruchów. Potrącano się, żeby go zobaczyć.

Wołano: On zabił swojego brata!

Chciał im powiedzieć, wyjaśnić, że Tony go popiera, ojciec też, ale 7 jego ust nic wydobywał .się żaden dźwięk. Bostoński Phil śmiał się szyderczo. Sid Kubik szeptał:

Zrobiłem wszystko, co możliwe, bo'- twoja matka ocaliła mi kiedyś życie, ule więcej nie mogę.

Na jstrasznie jsze było,, że oskarżali go o kłamstwo, bo Tony'ego tu nie ma. Sam toż się za nim rozglądał, ale go nie widział.

— ■ Tony, powiedz im, że...

Ojca też nie było i tamci, groźni, zaczęli znikać, rozplwać się, zostawiając go zupełnie samego. Nie było już ulicy ani kuchni, nív prócz pustki, olbrzymiego pustego placu, pośród którego wyciągał ramiona, wołając o pomoc.

Obudził się 7. Inny potem. Było jasno. Myślał, że spał zaledwie parę minut, ale podszedłszy do okna stwierdził, że ulica jest wyludniona i światło wskazuje na wczesny poranek. Napił się wody z lodem i, ponieważ było bardzo gorąco, uruchomił klimatyzację.

Miał ochotę na mocną kawę. ZadzWonił na dół. Odpowiedziano mu, że kelnerzy zaczynają pracę o siódmej. Była dopiero piąta. Nie mini odwagi położyć się znowu do łóżka. Omal nie zatelefonował do żony, żeby ją uspokoić. Potem pomyślał, że przestraszy się, wyrwana w ten sposób

z snu. Dopiero znalazłszy się na ulicy u:wiadoinił sobie, że zrobił głupstwo rezygnując z rozmowy, bo mię dzy KI Centro i Florydą są trzy godziny różnicy. Stars/o córki już poji-chały do szkoły i Alicja je tera/, śniadam".

W hallu hotelowym nie było nikogo, kto by się nim specjalnie zainteresował. Tylko recepcjonista zdziwił się nieco, że już wychodzi. Nikt za nim nie szedł, kiedy dużym krokiem przemierzał główną ulicę, ocienioną arkadii mi.

Były tu niezliczone bary, restauracje, kafeterio, ale upłynęło przeszło pół godziny, zanim znalazł otwarty lokal. Tanią kafeterię tego typu, co bar Pepa Fasoli, z takim samym bufetem, kuchenkami elektrycznymi i z tym samym zapachem.

— Czarną kawę poproszę.

Był sam z właścicielem, który miał oczy jeszcze zaspane. Za nim, pod przepierzeniem, stały cztery automaty do gry.

' Policja nie czepia się?

— Konfiskują co pół roku.

Znał to. Obławy co pewien czas działały uspokajająco na stowarzyszenia do walki o czystość obyczajów. Automaty były rzekomo niszczone. W parę« miesiący później pojawiały się w innych lokalach.

— Jakoś idzie?

— Dość ciężko.

— A grać lubią?

— We wszystkich prawie barach gra się w kości. Tu faceci nie wiedzą, co robić z pieniędzmi.

Kawa dodała mu wigoru i zamówił jajka na bekonie. Powoli uspokajał się, znowu poczuł się sobą. Właściciel baru od razu poznał, że można z nim mówić otwarcie.

— El Centro rozrasta się. Nie można nastarczyć robocizny. Ludzie przyjeżdżają, zewsząd i muszą kupować lub wynajmować przyczepy samochodowe, bo nie mają gdzie mieszkać. Są tacy, zwłaszcza wśród nowo przybyłych, co pracują prz' zbiorach po dwanaście, trzynaście godzin na dobę. Cała rodzina się wynajmuje — ojciec, matka, dzieciaki. To ciężka praca na tej spiekocie, ale rozumu do niej nie trzeba. Mimo to nie nadąża się

wszystkiego zebrać i szmugłuje się dniówkarzy z Meksyku. Granica jest tylko o dziesięć mil stąd.

Czy ma wymienić to nazwisko? Bo już wie, jak się nazywa syn Józefiny. Przypomniawszy sobie nagle w samolocie, choć nawet nie zdawał sobie sprawy, że szuka go w pamięci. Może żałował, że tak się stało?

Wiedział, że brzmi jak imię kobiece. Miał zamknięte oczy i drzemał, kiedy zabrzmiało mu w głowie: „Felici”. Marco Felici. W kafeterii byli tylko we dwójkę z właścicielem. Na ulicy zaczynały pojawiać się pierwsze wozy. W warsztacie samochodowym opodal pracowali już ludzie.

— Zna pan niejakiego Marco Felici?

— Co on robi?

— Uprawia warzywa.

Na stoliku obok ściennego aparatu leżała książka telefoniczna.

— Na pewno go pan tam znajdzie. •

Przekartkował spis abonentów, nazwisko odnalazł nie w El Centro, ale w Aconda, małej wiosce w okolicy.

— Aconda, to daleko stąd?

— Sześć lub siedem mil w stronę wielkiego kanału.

Wszedł jeden z mechaników z warsztatu, potem jakaś

kobieta z rozmazanym makijażem, która chyba całą noc nie spała. Zapłacił, wyszedł, zatrzymał się na chodniku nie wiedząc, co ma robić. Byłby mniej speszony, gdyby widział, że ktoś go śledzi. Wydawało mu się wręcz niemożliwe, żeby nikt go nie obserwował. Dlaczego dają mu swobodnie się poruszać, jakby ich nic obchodziło, co zrobi?

Uderzyła go nowa myśl: mieli nad nim jeden dzień przewagi. Odkąd wyjechał z Nowego Jorku, wiedzieli przecież, że udaje się do El Centro. Był lu bez żadnej wątpliwości ktoś, komu mogli powierzyć wytropienie Tony'ego.

Nie wiedzieli nic o Felicim, ale ten ślad nie był niezbędny. Tony miał ciężarówkę, towarzyszyła mu młoda kobieta, musiał zamieszkać w którymś motelu lub na campingu.

Pewne to nie było. Istniała tylko taka możliwość. Co się stało, jeśli go znaleźli?

Chyba jednak woleli poczekać, żeby zobaczyć, jak on, Eddie, postąpi? Czy Phil nie podejrzewał, że chce ich oszukać?

Wrócił do hotelu, żeby zostawić marynarkę, bo tu nikt nie był tak ubrany. Dotknął kilka razy aparatu telefonicznego. Był ciągle jeszcze pod wrażeniem swego snu, została mu po nim przykra pustka w całym ciele. W końcu podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z hotelem „Excelsior” w Miami. Zajęło to prawie dziesięć minut, w trakcie których słuchawka nagrzała się od jego dłoni.

— Chciałbym mówić z panem Kubikiem.

Podał numer apartamentu.

— Pan Kubik nie mieszka już w naszym hotelu.

Chciał się rozłączyć.

— Ale jest jego przyjaciel, pan Philippe. Mam połączyć? Kto będzie mówił?

Bąknął swoje nazwisko i zaraz usłyszał głos Phila,

— Obudziłem pana?

— Nie. Znalazłeś go?

- Jeszcze nic. Jestem w El Centro. Nie mam żadnej pewności, że jest w tej okolicy, ale...
- Ale co?
- Coś mi przyszło do głowy. A jeśli FBI, które też go szuka, ma mnie na oku?
- Widziałeś się z teściem?
- Tak.
- Byłeś w Brooklynie?
- Tak.

W obu miejscach mógł zostać zauważony przez policję

i wzięty pod obserwację.

- Daj mi swój numer telefonu. Nic nie rób, dopóki nie zadzwonię.
- Dobrze.

Odczytał numer z plakietki na aparacie.

- Nie zauważyłeś nikogo?
- Chyba nie.

Phil zapyta Kubika czy innego wielkiego szefa. Po zeznaniach Pietera Malaksa policja na pewno marzyła o położeniu ręki na Tonym. Poruszenia jego brata Eddiego nie mogły przejść niepostrzeżenie.

Na razie nie pozostawało mu nic innego jak czekać. Nie śmiał nawet zejść do hallu z obawy, że portier go nie znajdzie, kiedy Phil zatelefonuje. Z tego samego powodu nie łączył się z Alicją. Phil, może zadzwonić, kiedy telefon będzie zajęty, i pomyśleć, że zrobił to naumyślnie. Eddie był przekonany, że Phil podejrzewa go o chęć zdrady. Nie umiałby tego sprecyzować, ale myślał o tym od pobytu w Miami.

Gino też mógłby być gdzieś w tym samym mieście. Jechał do San Diego. Nie samolotem, autobusem. Taka podróż trwała wiele dni. Eddie wyliczył sobie mniej więcej, że brat przejeżdżał przez KI Centro wczoraj lub znajdzie się tu dzisiaj.

Chciałby się z nim zobaczyć. Ale kto wie, czy tak nie było lepiej. Nie umiał przewidzieć reakcji Gina. Za bardzo się między sobą różnili. Kręcił się po pokoju, niecierpliwił się, dzwonił do centrali hotelowej.

- Nikt mnie nie wzywał do telefonu?
- Nie.

Sid Kubik jest przecież na pewno na Florydzie. O tej porze roku zawsze spędza tam kilka tygodni. W Miami jest

o wiele później. Może pojechał gdzieś samochodem? Może poszedł na plażę?

A jeśli nie miał odwagi sam wziąć odpowiedzialności za decyzję? W tym wypadku, on z kolei dzwonił teraz do Nowego Jorku albo do Chicago. Sprawa była poważna. Świadek, taki jak Tony, jeśli istotnie Tony zdecydował się mówić, zagrażałby istnieniu całej organizacji. Vince Vitlori miał takie znaczenie, że za żadną cenę nie wolno było do puścić do jego aresztowania.

Od lat prokurator okręgowy stawał na głowie, żeby znaleźć świadka. Dwa razy omal mu się nie udało. Raz nawet był już bardzo bliski tryumfu. Zaaresztowali małego Charliego, też kierowcę jak Tony. Przezornie nie zamknęli go w Tombs, gdzie inny więzień mógł go uciszyć na wieki. Były już takie wypadki. Alfred Jednooki, pięć lat wcześniej, został uduszony podczas spaceru i żaden strażnik tego nie zauważył.

<sup>7</sup> W ścisłym sekrecie umieścili Charliego w mieszkaniu jednego z policjantów, gdzie czterech lub pięciu pilnowało go dzień i noc. Ale i tak go dostali. Kula wystrzelona z dachu naprzeciwko dosięgła Charliego w pokój policjanta.

Jasne, że trzeba się bronić. Eddie to rozumiał. Nawet kiedy chował o jego brata.

Sprawa była skomplikowana. Policja brooklyńska nie mogła działać tu, w Kalifornii. FBI nie ma w zasadzie żadnej podstawy, jeśli w grę nie wchodzi przestępstwo podlegające ustawodawstwu federalnemu.

-Morderstwo Carmine'a i handlarza cygar to nie były zbrodnie leżące w gestii władz federalnych.

Dotyczyły tylko stanu Nowy Jork. Inaczej rzecz by się przedstawiała, gdyby na przykład użyto samochodu ukradzionego w innym stanie. Ale organizatorzy obu akcji byli wystarczająco przezorni. FBI, jeśli zdoła odnaleźć Tony'ego, może jedynie spróbować oskarżyć go o kradzież ciężarówki i wywiezienie jej do Kalifornii. Zanim dowiedziałby się o tym stary Malaks, zdążyliby chyba zabrać go do stanu Nowy Jork.

Były i inne rozwiązania. Jego umysł pracował zbyt gorączkowo. Niech już ten dzwonek telefonu mu przerwie!

Drgnął, kiedy zapukano do drzwi, podszedł do nich na palcach, otworzył gwałtownym gestem. Była to tylko pokojówka z pytaniem, czy może sprzątnąć.

Zdarza się, oczywiście, że niepokoją gościa, który za długo zwleka z wyjściem. Ale nie wykluczał możliwości że to „oni” chcieli się upewnić, czy nadal tu jest. „Oni” odnosiło się teraz równie dobrze do organizacji, jak do policji; tak FBI, jak i stanowej.

Eddie spał prawie czternaście godzin, ale nie czuł się wypoczęty. Potrzebował paru godzin całkowitego spokoju, żeby pomyśleć. Nie tak, jak teraz, nerwowo, chaotycznie, przeskakując od jednej koncepcji do drugiej, ale żeby wszystko rozważyć na chłodno, tak jak to miał w zwyczaju. Jakie to dziwne, że śnił mu się ojciec. Rzadko wracał

do niego pamięcią. Ledwie go znał. Ale był prawie pewien, że łączy go z nim więcej niż jego braci.

Pamiętał, jak obsługiwał klientki w sklepie, zawsze spokojny, może nawet nieco namaszczony. Ale to nie było namaszczenie. To była strefa ciszy, która go otaczała.

Eddie też był spokojny. I jak ojciec skryty — całymi dniami ważył wszystko w myślach. Czy kiedykolwiek zwierzył się żonie? Zdarzyło się to może raz czy dwa, ale nie były to zwierzenia istotne. Nigdy nie otwierał serca przed braćmi ani tak zwanymi przyjaciółmi.

Jego ojciec też nigdy się nie śmiał, tak jak Eddie, ale prawie zawsze uśmiechał się niewyraźnie.

Szli swoją drogą, uparci jeden i drugi, nie zbaczali z niej, ponieważ raz na zawsze ustalili, jakie będzie ich życie.

W wypadku ojca droga nie była tak jasno określona. Cesare Bico powziął chyba decyzję, kiedy spotkał Julię Massera. Z nich dwojga Julia była silniejsza. To ona bez wątplenia rządziła w małżeństwie, jak i w sklepie.

Ożenił się z nią i Eddie, nigdy nie słyszał, żeby podniósł głos czy poskarżył się.

Eddie też dokonał wyboru: że będzie należał do organizacji i będzie stosował się do reguł gry, nie buntując się

i nie oszukując, jak niektórzy inni.

Na co Phil czeka z tym telefonem? Nie miał nawet gazety do czytania. Mógł kazać sobie ją przynieść, ale nie przyszło mu to do głowy. Potrzebna mu była samotność,

Ulica już znowu rozbrzmiewała hałasem. Wozy parko- wały wzdłuż chodników i policjant regulujący ruch z trudem dawał sobie radę. Inaczej tu jest niż na Florydzie • czy w Brooklynie. Widać było samochody wszelkiej marki, najstarsze i najnowsze modele, wysokie fordys na kołach, jakie spotyka się tylko w zabitych wioskach na prowincji; £

z maską przywiązaną i olśnić\* wające cadillaki,  
półciężarówki, motocykle, ludzi wszystkich ras, wiciu Murzynów, jo3ZC7c więcej Mck. sykańczyków.  
Rzucił się do aparatu, ledwo rozległ sir; dzwonek.

— Halo!

Sygnal dalej brzęczał. Słyszał głosy dalekich telefonistek; wreszcie odezwał się Phil.

— Eddie?

— Tak.

— Zgoda.

— Na co?

— Porozmawiasz ze swoim bratem.

— Nawet jeśli policja?

— Wszystko jedno, grunt, żebyśmy byli pierwsi. Sid kazał, żebyś do mnie zadzwonił natychmiast, jak go znajdziesz.

Eddie otworzył usta nie wiedząc jeszcze, co powie, ale nie zdążył, bo Phil się rozłączył.

Umył ręce i twarz, żeby się odświeżyć, zmienił koszulę, włożył kapelusz i skierował się do windy. Zostawił na stole butelkę whisky, której nawet nie tknął. Nie chciało mu się pić. Nie był spragniony. Miał sucho w gardle, ale mimo to zapalił papierosa.

W hallu było sporo ludzi, ale nawet się nie rozejrzał. Przed hotelem był postój taksówek. Nie wybierał, wsiadł do pierwszej, która się napatoczyła.

— Accnda — powiedział, sadowiac się na siedzeniu nagrzanym od słońca.

Za miastem zobaczył motele, o których mówiono mu dziś rano, i domy na kółkach, tworzące na nie zabudowanych terenach prawdziwe osady, z bielizną suszącą się na sznurach, kobietami w szortach, grubymi i chudymi, które

pitrasily na kuchenkach stojących na wolnym powietrzu. Dalej ciągnęły się uprawne\* pola. Na większości z nich mężczyźni i kobiety posuwali się rzędami, nachyleni nad ziemią, a w ślad za nimi jechały ciężarówki stopniowo ładowane.

Domy po większej czyści były now\*. Przed paru laty, zanim przeprowadzono kanał, ten rejon był po prostu pustynią, pośród której wznosiło się hiszpańskie miasto. Budowano szybko. Niektórzy zadowalali się barakami.

Wóz skręcił w lewo na piaszczystą drftgę, wzdłuż której biegła sieć elektryczna i z rzadka pokazywały się niewielkie wioski.

Aconda była bardziej okazała. Było tam kilka obszernych posiadłości, otoczonych trawnikami i kwietnymi klombami.

— Do kogo pan jedzie?

— Szukam „pana Felici.

— Nie znam takiego. Tu się ciągle zmienia!

Kierowca zatrzymał się przed domem towarowym, z którego wystawiono narzędzia rolnicze aż na środek chodnika

— Mieszka tu jakiś Felici w tej dzielnicy?

Udzielono im zawitych wyjaśnień. Taksówka opuściła

miasteczko, znowu jechała wśród pól, zatrzymała się przed paroma skrzynkami pocztowymi, ustawionymi na brzegu drogi. Na piątej widniało nazwisko Felici. Dom stał osobno, otoczony polami, z daleka rząd zbieraczy, rysujący się wyraziście na tle nieba, nachylał się nad ziemią.

— Czekam na pana?

— Tak.

Malutka dziewczynka w czerwonym kostiumie kąpielowym bawiła się na werandzie. Miała nie więcej niż pięć lat.

— Jest twój ojciec?



— Jest 'łłm.

Wska./rtł;i na ludzi widocznych na horyzoncie.

— A mama?

iMala nic musiała odpowiadać. Ciemnowłosa kobieta, która miała na sobie tylko płócienne szorty i coś w rodzaju stanika z tego samego materiału, już rozsuwała moskitierę.

— O co chodzi?

— Pani Felici?

— Tak.

Nie przypominał jej sobie i ona nie mogła go pamiętać. Był dla niej po prostu mężczyzną, niewątpliwie Włochem, na pewno przybywającym z daleka.

Czy ma z nią mówić, czy lepiej poczekać na męża? Odwrócił się. W polu widzenia nie było nikogo. Miał wrażenie, że nie jest śledzony.

— Chodzi mi o pewne informacje.

Zawahała się. Drzwi jeszcze ciągle były otwarte. Powiedziała z ociąganiem:

— Proszę wejść.

W obszernej izbie panował półmrok, bo żaluzje były spuszczone. Na środku stał duży stół, na podłodze leżały zabawki, w kącie na desce do prasowania żelazko i rozłożona męska koszula.

— Proszę usiąść.

— Nazywam się Eddie Rico i znałem pani teściową.

Dopiero w tym momencie uświadomił sobie czyjąś

obecność w drugim pokoju. Ktoś się tam poruszał. Potem' otworzyły się drzwi naprzeciwko. Z początku zobaczył tylko postać kobiety w jasnej sukni w kwiaty. W tamtym pokoju okiennice były otwarte, sylwetka odcinała się ostro na oświetlonym tle i przez tkaninę rysowały się nogi i uda.

Zamiast odpowiedzi pani Felici odwróciła się i zawołał;, półgłosem:

Nora!

— Tak, już idę.

Weszła do pokoju. Eddie zobaczył ją z bliska. Była mniejsza, niż się spodziewał znając jej ojca i młodszego brata, mniejsza i delikatniejsza. Natychmiast zdał sobie sprawę, że jest w ciąży.

— Pan jest bratem Tony'ego?

— Tak. Pani jest jego żoną, prawda?

Nie przypuszczał, że to nastąpi tak nagle. Nic sobie nie 'przygotował. Liczył, że najpierw porozmawia z Felicim, wyobrażał sobie, jak w końcu skłoni go, żeby wyjawiał, gdzie jest Tony.

Stwierdzenie, że Nora jest w ciąży, zbiło go z tropu. Sam miał trzy córki, ale nigdy jakoś nie pomyślał, że jego bracia też mogą mieć dzieci.

Usiadła na ławce, oparła rękę na stole i przyglądała mu się badawczo.

— Jak to się stało, że pan tu się zjawił?

— Muszę porozmawiać z Tonym.

— Nie o to pytam. Kto dał panu adres?

\* Nie miał czasu na wymyślenie odpowiedzi.

- — Pani ojciec mi powiedział...

— Był pan u mojego ojca?

— Tak. -

— Po co?

— Żeby dowiedzieć się o adres Tony'ego.

— Nie zna go. Moi bracia też nie.

— Pani ojciec powiedział mi, że Tony naprawił starą ciężarówkę i dostał ją w prezencie.

Była bystra i inteligentna. Już zrozumiała, w rok jej ztwardniał.

— Zgadł pan, że tu przyjedzie.

— Przypomniałem sobie, że spędzi! tu parę miesięcy jako dziecko i potem często mówił o ciężarówkach.

— A więc to pan jest Eddie.

Jej spojrzenie peszyło go. Usiłował się do niej uśmiechnąć.

— Cieszę się, że panią poznałem — wymamrotał.

— Czego pan chce od Tony'ego?

Nie odpowiedziała mu uśmiechem i nadal patrzyła na niego z namysłem, podczas gdy pani Felici kulila się w swoim kąciku.

Co Tony opowiedział Felicim? Czy wiedzieli? I mimo to przyjęli go do siebie?

— Czego pan od niego chce? — powtórzyła Nora tonem, który wskazywał, jakim torem idą jej myśli.

— Mam do niego pewną sprawę.

— Jaką?

— Zostawiam was — bąknęła gospodyni.

— Ależ nie.

— Muszę przygotować obiad.

Przeszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

— Czego pan od niego chce?

— Jest w niebezpieczeństwie.

— Dlaczego?

Właściwie jakim prawem mówiła do niego tonem prokuratora? Jeśli Tony był w niebezpieczeństwie, jeśli on sam wpadł w tarapaty, jeśli całe lata jego pracy mogły pójść na marne, czy nie stało się to z powodu tej dziewczyny?

\

— Pewni ludzie boją, że będzie sypał -- odpowie dział ostrzej.

Ci ludzie wiedzą, gdzie on jest?

- .Jyucze nie.

- Pan im to powie?

— Sarni go w końcu znajdą.

I wtedy?

Będą chcieli go uciszyć za wszelką cenę.

-- To oni pana przysłali?

Na nieszczęście zawahał się. Mógł potem przeczyść, flr chciał, Nora już wiedziała,

— Co panu powiedzieli? Jakie zadanie panu zlecili?

Dziwne, była bardzo kobieca, w rysach jej twarzy,

w całej postaci, nie było nic twardego, przeciwnie; a mimo to czuło się w niej więcej silnej woli niż w mężczyźnie.

Nie lubiła Eddiego od pierwszego spojrzenia. Może nie lubiła go już z góry. Tony musiał opowiadać o nim i o Gi- no. Czy wołała Gina? Czy gardziła całą rodziną oprócz Tony'ego?

W jej ciemnych oczach malował się gniew, wargi drżały z tłumionej pasji.

— Gdyby pani brat nie poszedł na policję... — tym razem sam zaatakował.

— Co pan wygaduje? Ośmiela się ptfn twierdzić, że mój brat...

Podniosła się i stanęła przed nim z wysuniętym brzuchem. Myślał, że rzuci się na niego i że nie może się przecieć szarpać z kobietą ciężarną.

— Pani brat, tak, ten który pracuje w General Electric. Powtórzył policji to, co pani mu opowiedziała o Tanym.

— To nieprawda!

— Prawda.

- Kłamię pan!
- Proszę, posłuchać. Niech się pani uspokoi. Przysięgam, że...
- Kłamię pan!

Jak mógł przewidzieć, że znajdzie się w sytuacji tak groteskowej? Po drugiej stronie drzwi pani Felici musiała słyszeć podniesione głosy. Dziewczynka słyszała wszystko z werandy, otworzyła drzwi, wsunęła przestraszoną buzię.

- Co ci się stało, ciociu?
- Uważano ją więc w tym domu za członka rodziny. Na pewno i na Tony\*ego mówiła wujek.
- Nic, kochanie. Spieramy się.
- O co?
- O sprawy, których ty nie możesz zrozumieć.
- To jemu miałam nie odpowiadać na pytania?

Tak więc Tony i jego żona powiedzieli wszystko Felicim. Bali się, że ktoś będzie się o nich dopytywać. I polecono dziecku, żeby, jeśli pojawi się jakiś pan i ją zagadnie... Czekał na odpowiedź Nory, która rzuciła mściwie:

- Tak, właśnie jemu.
- Dygotała od stóp do głów.

7 -

Jeszcze stali naprzeciwko siebie mierząc się \* wzrokiem i ciężko dysząc, kiedy wielka ciężarówka, która nadjechała od strony pól, zatrzymała się z chrzęstem przed werandą. Eddie ze swojego miejsca nie mógł wyrzeć przez okno, ale po wyrazie twarzy Nory dom<sup>1</sup> ślił się, że przyjechał Tony.

Musiał zauważyć z daleka taksówkę. Gdyby natychmiast odjechała, Tony może by się nie zaniepokoił, ale przedłużający się postój sprawił, że oderwał się od pracy i postanowił zobaczyć, o co chodzi. W pokoju słychać było, jak wchodzi po schodach, i wszyscy troje zamarli w pozycji dokładnie takiej, w jakiej zaskoczył ich odgłos nadjeżdżającego wozu.

Drzwi otworzyły się od jednego pchnięcia. Tony mtał na sobie spodnie z niebieskiego płótna i obcisły biały podkoszulek, odsłaniający ramiona i kark. Był bardzo muskularny i miał skórę ogorzałą od słońca.

Na widok brata stanął jak wryty. Ściągnął gęste, czarne brwi i pionowa zmarszczka przecięła mu czoło na dwie nierówne części.

Zanim wymówił słowo, malutka rzuciła się w jego stronę:

- Uwaga, wujku, to ten!

Tony nie zrozumiał od razu. Poklepał dziewczynkę po główce patrząc na żonę wyczekująco. Było to spojrzenie czułe i ufne

- Bessie pytała, czy to jest ten pan, któremu ma nie odpowiadać na pytania, i ja potwierdziłam.

Drzwi od kuchni otworzyły się: pokazała się w nich pani Felici trzymająca w ręku patelnię, na której skwierczała słonina.

- Bessie, chodź tutaj...
- Ale, mammo...
- Chodź!

Zostali więc we trójkę, początkowo dość zakłopotani.'

Białka oczu Tony'ego, jeszcze bielsze przez kontrast-; z opalenizną, świeciły połyskliwe w półmroku pokoju.

7'#.

Wyjaśnił, nie patrząc w twarz Eddiemu: •" "

— Ciigglu sit; czekii na takich, co to będą się dopytywać,  
i przykazaliśmy mniej...

— Wiem.

Podnosząc głowę Tony powiedział cicho, zc szczerym zdziwieniem:

— Nie przypuszczałem, że to będziesz ty!

Jal>aś myśl go dręczyła. Spojrzał na żonę, potem na brata.

— To ty przypomniałeś sobie o moich wakacjach tutaj?

Jasne było, że w to nie wierzy. Eddie nie był w stanie

kłamać przekonywająco.

— Nie — przyznał.

— Byłeś u mamy?

— Tak.

Nora stała z wypiętym brzuchom opierając się o stół. Tony, mówiąc do Eclidigo, zbliżył się do niej i położył jej dłoń na ramieniu gestem, do którego oboje przywykli.

— Mama ci powiedziała, że tu jestem?

— Kiedy się dowiedziała, że pojechałeś ciężarówką...

— Jak się dowiedziała?

— Ode mnie.

— -W White Cloud też byłeś?

— Tak.

— Rozumiesz, Tony? — wtrąciła się kobieta.

Uspokoił ją przyciskając dłoń, po czym delikatnie otoczył ją ramieniem.

— Co ci mama powiedziała dokładnie?

— Przypomniała, że po powrocie stąd miałeś mnóstwo pomysłów, co by tu można zrobić, jakby się rtdnło ciężarówkę,

— I dlatego przyjechałeś! — bąknął Tony pochylając głowę.

Ou leż musiał uporządkować myśli. Nora jesze/.e raz próbowała mu coś powiedzieć, ale skłonił ją do milczenia zacieśniając nieco uścisk.

Wiedziałem, że mnie znajdą wcześniej czy później— Mówił jakby do siebie, bez gniewu i goryczy, i Kddie odniósł wrażenie, że stoi przed nim Tony, którego nic znał. Nie przypuszczałem, że to będziesz ty.. \

Podnió.Nl iibwt; i odrzucił dt> tyłu pukiel włosów, który mu spadał na oko.

Oni cię przysłali?

~ Sid do mnie telefonował. To znaczy kazał Philowi, żeby mnie wezwał telefonicznie do Miami. Byłoby lepiej, gdybyśmy spokojnie porozmawiali we dwójkę.

Zauważył, że Nora zeszytywniała, (łdyby Tony poprosił ją, żeby wyszła, na pewno by go posłuchała, aJt-Tony pokręcił głową,

Nora z nami zostanie.

Objął wzrokiem brzuch żony z wyrazem twarzy, jakiego brat nigdy u niego nie widział.

- • Wiesz, że się spodziewamy?

- - Tak.

Więcej nie było mowy o dziecku, które ma się narodzić.

— Więc co ci kazali mi przekazać?

W jego głosie pobrzmiwała nuta pogardy, sarkazmu. Eddie musiał zmobilizować całą swoją zimną krew. Od tego zależało wszystko.

• Najpierw musisz dokładnie wiedzieć, co się stało.

— Potrzebują mnie? - zakpił Tony,

- Nie. To poważniejsza sprawa, nawet bardzo poważ- ' na. Wysłuchaj mnie uważnie, proszę cię.

— Będzie kłamał — oświadczyła półgłosem Nora.

Ścisnęła dłoń spoczywającą na jej ramieniu, żeby mocniej podkreślić, że są razem.

— Pozwól mu mówić.

— Twój szwagier zgłosił się na policję.

Dygocząc z oburzenia Nora znów zaprotestowała:

— To nieprawda!

Jeszcze raz Tony uciszył ją gestem.

— Skąd wiesz?

— Sid ma informatorów w komendzie, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Pieter Malaks powtórzy! tam wszystko to, co ty mu powiedziałeś.

— Nigdy z nim nie rozmawiałem.

— Wszystko, co jego siostra mu powiedziała.

Tony ciągle ją uspokajał. Ani trochę się na nią nie gniewał. Eddie nie przypuszczał, że umie być tak spokojny, tak pełen rozważli.

— A więc?

— Utrzymuje, że jesteś gotów zeznawać. Czy to prawda?

Tony zabrał rękę z ramienia Nory, żeby zapalić papierosa. Stał teraz o dwa metry od Eddiego i patrzył mu prosto w oczy.

— A ty co o tym myślisz?

Eddie spojrzał na brzuch Nory i potem dopiero odpowiedział:

— Przedtem w to nie wierzyłem. Teraz już nie wiem.

— A Sid? A inni?

— Sid nie chce ryzykować. ;

Po chwili milczenia Eddie spytał po raz drugi.

— To prawda?

Z kolei Tony spojrzał na żonę. Po czym mruknął wymiennie ją:

Nic nie powiedziałem swojemu szwagrowi.

— W każdym razie miałem rozmowę z komendantem policji i prawdopodobnie z prokuratorem okręgowym.

- Uważał, że robi dobrze. Rozumiem go. i rozumiem, dlaczego Nora mu wszystko opowiedziała. Pieter sprzeciwiał naszemu małżeństwu. Nie bez racji, Zebrał o mnie wiadomości.

Tony otworzył szafę ścienną i wyjął butelkę wina.

— Napijesz się?

— Nie, dziękuję.

— Jak chcesz.

Nalał sobie sziankę i wypił jednym haustem. Chianti, jak u matki. Nalewał już drugą, kiedy Nora szepnęła.

— Uważaj, Tony.

Zawahał się, spojrzał na brata i uśmiechnął się odstawiając na stół butelkę w plecionce.

— A więc widziałeś się z Sidem i przekazuje mi przez ciebie zlecenia...

Wrócił na poprzednie miejsce, oparty plecami o stół, z ręką na ramieniu Nory.

— • Słucham cię.

— Rozumiesz chyba, że policja po oświadczeniu Malaksa chce za wszelką cenę dostać cię w swoje ręce?

— Jasne.

— Wyobrażają sobie, że nareszcie będą mieli świadka,

o jakim od dawna marzyli.

— Tak.

— Mają rację?

Zamiast odpowiedzi Tony zażądał:

— Mów dalej.

— Sid i tamci nie mogą się zgodzić na takie ryzyko.

Po raz pierwszy Tony stał się agresywny.

— Dziwi mnie tylko — rzekł z grymasem ust, który Eddie znał dobrze — że przysłali ciebie, a nie Ginę.  
— Dlaczego?  
— Bo Gino jest zabójcą.  
Nawet Nora zadrżała. Eddie zbladł jak kreda.  
— Czekam na dalszy ciąg — oznajmił Tony,  
— Zwróć uwagę, że mi jeszcze nie odpowiedziałeś, czy będziesz zeznawał, czy nie,  
— Co dalej?  
— Obawy Sida nie są takie bezsensowne. Przez lata całe miano do ciebie zaufanie.  
— Proszę, proszę!  
— Los wielu ludzi, życie niektórych, zależy od tego, co ty powiesz lub czego nie powiesz.  
Znowu Nora otworzyła usta i Tony ją uciszył gestem tkiwym i opiekuńczym.  
— Pozwól mu mówić.  
Eddiego stopniowo ogarniał gniew. Nie podobała mu się postawa brata. Czuł, że Tony go potępia, że od początku patrzy na niego z ironiczną pogardą, jakby czytał w jego myślach.  
— Nie mają do ciebie pretensji.  
— Doprawdy?  
— Chcą tylko, żebyś się znalazł poza zasięgiem policji.  
— Trzy stopy pod ziemią? .  
— Sid mówi, że Ameryka jest dla ciebie za mała. Gdybyś przeniósł się do Europy, jak inni przed tobą, miałbyś spokój, ty i twoja żona.  
— A oni też by mieli spokój? "  
— Sid zapewnił mnie, że...  
— Uwierzyłeś mu...  
— Ale...  
— Przyznaj, że mu nie uwierzyłeś. Wiedzą równie dobrze, jak ty i ja, że najłatwiej mnie złapią przy przekraczaniu granicy. Jeśli to, co mi tu opowiedziałeś jest prawdą.  
— Jest prawdą...  
— Załóżmy. W tym wypadku wszędzie rozesłano mój rysopis.  
— Mógłbyś przekraść się do Meksyku i tam wsiąść na statek. Granica jest o dziesięć mil.  
W pamięci Eddiego Tony nie był tak muskularny, tak bardzo męski. Wyglądał młodo z tymi wijącymi się włosami i błyszczącym wzrokiem, ale sprawiał wrażenie mężczyzny.  
— Co Gino o tym myśli?  
— Nie widziałem się z Ginem.  
Nie powiedział tego jak należy.  
— Kłamiesz, Eddie.  
— Wysłali Gina do Kalifornii.  
— A Joego?  
— Do mnie, do Santa Clara.  
— Gdzie jest Vittori?  
— O nim mi nie mówiono.  
— Mama wie, że tu jesteś? . -  
— Nie.  
— Powtórzyłeś jej, co Sid powiedział?  
Zawahał się. Za trudno było kłamać Tony'emu.  
— Nie.  
— Właściwie pojechałeś do niej tylko po to, żeby ją pociągnąć za język?  
Tony skierował się do drzwi. Otworzył je i w ciemności pokoju zarysował się prostokąt światła tak ostrego, że aż ;

oślepiającego. Zrobił z dłoni daszek drogi.

Kiedy wrócił do stołu, mruknął z miną pełną zastanowienia:

— Puścili cię tu samego.

— Inaczej bym nie przyjechał.

— To znaczy, że mają do ciebie zaufanie, prawda? Zawsze mieli do ciebie zaufanie.

— Do ciebie też — odpalił Eddie.

— To nie to samo. Ja byłem tylko skromnym pionkiem, posługiwano się mną do określonych zadań.

— Nikt cię nie zmuszał, żebyś się ich podejmował.

Musiał być złośliwy, nie tyle z powodu Tony'ego, ile ze względu na Norę, która ziała nienawiścią. Z powodu tego jej brzucha para ludzi na wprost niego nie była już tylko małżeństwem, ale rodziną, klanem prawie. .

— Wcale nie czekałeś, żeby ci kazano kraść samochody, i pamiętam jak...

Ze smutkiem raczej niż z oburzeniem Tony mruknął:

— Możesz mówić, ona i tak wszystko wie. Pamiętasz dom, ulicę, ludzi, którzy przychodzili do sklepu mamy? Pamiętasz nasze zabawy po lekcjach?

Tony nie nalegał, 'szedł za własnym tokiem myśli i mówił .coraz ciszej: -

— Ale dla ciebie to nie było to samo. To nigdy nie było całkiem to samo.

— Nie rozumiem.

— Rozumiesz.

Rzeczywiście. Rozumiał. Zawsze różnił się od swoich braci, wszystko jedno, czy to był Gino, czy Tony. Nigdy jej ze sobą o tym nie rozmawiali. Teraz też moment nie był j właściwy, zwłaszcza wobec obcej kobiety. Tony niesłusz

%

nie tak się obnażał przed swoją żoną'. Eddie był trzynastcie lat po ślubie i nigdy nie zwierzył się Alicji z najmniejszego drobiazgu, który mógłby zagrażać organizacji.

Nie warto wdawać się z Tonym w dyskusję na ten temat. Innym chłopcom też się zdarzało zakochać. Niewielu.

Wszyscy oni wtedy uważają, że mogą stawić czoło całemu światu. Nic w ich oczach nie jest ważne oprócz kobiety. Reszta ich nie obchodzi.

Takie historie źle się kończyły. Sid też to wiedział.

— Jak myślisz, kiedy oni przyjdą?

Nora zadrzała i odwróciła się do męża, jakby chciała rzucić mu się w ramiona.

— Nic innego nie chcą, tylko żebyś przeniósł się do Europy.

— Nie traktuj mnie jak dziecko.

— Nie przyjechałbym, gdyby było inaczej.

Znowu z tą samą prostotą Tony odpowiedział sucho:

— Przyjechałbyś! — I z pewnym zmęczeniem w głosie: — Ty zawsze robiłeś i zawsze będziesz robił wszystko, co trzeba. Pamiętam, jak kiedyś tłumaczyłeś mi swój punkt widzenia, tego wieczoru wyjątkowo byłeś pod gazem...

— Gdzie to byki?

— Chodziliśmy po Greenwich Village. Było ciepło. W restauracji pokazałeś mi jednego z wielkich szefów, któremu przyglądałeś się z daleka, drżąc z podziwu. „Widzisz, Tony — powiedziałaś — są chłopcy, którzy myślą, ' że są sprytni, bo głośno gadają”. Chcesz, żeby ci powtó-; rzył twoje przemówienie? Mógłbym nawet zacytować całe zdania, zwłaszcza na temat reguły. • • •.

— Byłoby lepiej, żebyś się do niej stosował.

— To by ci zaoszczędziło podróży do Miami, potem do.

>; ;

White Cloud, do Brooklynu, gdzie marna na pewno lamie sobie głowę, co ty kombinujesz, i wreszcie tutaj. Zauważ, że nie mam ci tego za złe. Taki już jesteś.

Zmieniając nagle głos, twarz, jakby zabrał się do omawiania interesu:

— Mówmy otwarcie, bez kręctw.

— To nie ja kręcę.

— Dobra. W każdym razie bądźmy szczerzy. Wiesz dobrze, po co Sid i Phil wezwali cię do Miami. Chcieli dowiedzieć się, gdzie ja jestem. Gdyby sami wiedzieli, nie potrzebowaliby ciebie.

— To nie takie pewne.

— Miej przynajmniej odwagę spojrzeć prawdzie w oczy. Wezwali cię i rozmawiali z tobą, jak rozmawia szef z zaufanym urzędnikiem, kierownikiem działu lub z adiutantem. Często kojarzyłeś mi się z sufniennym kierownikiem działu w magazynie.

Po raz pierwszy uśmiech rozjaśnił twarz Nory, która pęł głąskała dłoń męża.

— Dziękuję.

— Jeśli ci to sprawia przyjemność. Oświadczyli ci, że twój brat jest zdrajcą i przez niego rodzina będzie zhańbiona.

— Nieprawda!

— Tak to zrozumiałeś. Nie tylko zhańbiona, ale skompromitowana, co jest znacznie groźniejsze'.

Eddie odkrywał zupełnie nowego człowieka, którego istnienia nawet nie podejrzewał. Dla niego Tony był ciągle jeszcze młodszym bratem, miłym chłopcem z pasją do mechaniki, który lata za dziewczynami i lubi imponować kumplom po barach. Zapytany, co Tony o nim sądzi, odpowiedziałby chyba, że go szczerze podziwia. Czy napraw

dę Tony to wszystko przemyślał? Czy też powtarza to, go nauczyła go Nora?

Upał był coraz bardziej dokuczliwy. Dom nie miał klimatyzacji. Tony od czasu do czasu pociągał łyk wina, nie ; zdejmując drugiej ręki z ramienia żony.

Eddiemu też chciało się pić. Po wodę trzeba by pójść do kuchni, gdzie schroniły się pani Falici i jej córeczka. W końcu zdecydował się wyjąć z kredensu szklankę i sarn sobie nalał trochę chianti.

— Na zdrowie! Bałeś się, że od wina stępiejesz? Możesz usiąść, choć nie mam ci już wiele do powiedzenia.

W tym momencie zobaczył Tony\*ego ze swojego snu Nie żeby przypominał gumową lalkę, która leżała razem z ojcem w skrzynce pocztowej, ale uśmiechał się podobnie. Nie umiałby wytłumaczyć, na czym to podobieństwo polega. W jego śnie Tony też był wesoły, bardzo młodzieńczy, beztroski, i zarazem był w nim dziwny rys melan- ■ choiii.

Ja^cby kości zostały rzucone! Jakby nie miał już żad- ' nych złudzeń. Jakby minął przyłodek, poza którym wszy- ' stko się wie, na wszystko patrzy nowymi oczami.

Przez jedną sekundę Eddie widział brata martwego. Usiadł, założył nogę na nogę, zapalił papierosa drżącą ręką.

— Co to ja mówiłem? — spytał Tony. — Nora, pozwól mi skończyć — Bo Nora znowu otworzyła usta. — Le- , piej, żebyśmy raz w życiu powiedzieli sobie wszy- - stko do końca. To mój brat. Wyszliśmy z tego samego brzucha. Przez wiele lat spaliśmy w tym samym łóżku. Kiedy miałem pięć lat, stawiano mi go za przykład. Dobra. Wróćmy do spraw poważnych. Nie jest całkiem niemożliwe, że rzeczywiście kazali ci przekazać mi taką propozycję.



— Przysięgam ci...

—Wierzę- Kiedy kłamiesz, widać to po twojej twarzy. Ale dobrze wiedziałeś, że nie o to im chodzi. Rozumiałeś od samego początku, że nie mają ochoty, żebym przekradał się przez granicę. I dlatego nie wspominałeś o tym mamie.

— Nie chciałem jej niepokoić.

Tony wzruszył ramionami.

—I bałem się, że się wygada.

—Mama w życiu nie powiedziała jednego słowa, którego nie chciała powiedzieć. Nawet nam. Do dzisiaj, założę się, nie wiesz, że odkupuje kradzione rzeczy od chłopaków, którzy przychodzą, na lody do sklepiku.

Eddie zawsze ją o to podejrzewał, ale nigdy nie trafił na dowód.

—Odkryłem to przypadkiem. Widzisz-, Eddie, ty trzymasz z nimi. Całkowicie. Tak samo dziś jak wczoraj, i jak zawsze. Trzymasz z nimi, bo tak postanowiłeś i zbudowałeś sobie na tej decyzji życie. Gdyby cię spytali bez ogródek, co należy ze mną zrobić...

Eddie chciał zaprotestować.

■ — Cicho! Gdybyś zasiadał w jakimś trybunale i zadano by ci to pytanie w imieniu organizacji, odpowiedziałbyś to samo, co oni. Nie wieni, co oni robią w tej chwili. Chyba czekają na ciebie w hotelu. Zatrzymałeś się w „Pre- sidio?” Dzięki tobie wiedzą już, gdzie jestem. Choćbyś im przysięgał, żeś mnie nie widział, nie ma na to rady.

Nigdy jeszcze nikt nie patrzył na niego z taką nienawiścią jak Nora, która, nie spuszczać z niego oczu coraz mocniej tuliła się do męża.

Może Tony odpowiadał na jej myśli, kiedy ciągnął obojętnym tonem:

•— Nawet gdybym cię zabił tutaj, żebyś nie mógł do nich wrócić, i tak się dowiedzą. Już się dowiedzieli. A ty od Miami, od momentu kiedy zacząłeś mnie szukać, zdawałeś sobie sprawę, że naprowadzisz ich na mój ślad. To ci chciałem powiedzieć. Że nie jestem naiwny, i ty też nie powinieneś robić z siebie durnia.

— Słuchaj, Tony...

— Jeszcze nie. Nie mam ci tego za złe. Zawsze wiedziałem, że tak właśnie postąpisz, jak nadarzy się okazja. Wolałbym nie być tą okazją, to wszystko. Załatwisz to jakoś z mamą. Załatwisz to z własnym sumieniem.

Po raz pierwszy Eddie usłyszał z jego ust to słowo. Wymówił je nonszalancko, prawie żartobliwie.

— Tym razem już skończyłem.

-r- Teraz na mnie kolej!

Nora wysunęła się z jego objęć i zrobiła krok w stronę Eddiego.

— Jeśli Tony emu włos z głowy spadnie, ja im wszystko opowiem.

Tony uśmiechnął się, szczerze rozbawiony.

— To nie zdałoby się na nic, kochanie. Rozumiesz, żeby twoje zeznania miały jakąś wartość, musiałybyś brać udział w...

— Nie zostawię cię samego ani na jedną chwilę.

— To ciebie też sprzątną.

— Wolę to.

— Ja nie.

— Nie próbowałem ci przerwać — mruknął Eddie.

— Co z tego?

— Nie przyjechałem tu po to.

•— Na razie jeszcze nie.

— Nie powiem im, gdzie—

— Już tego nie potrzebują. Przyjechałeś. To wystarczy.

— Zadzwoń na policję — zawołała Nora.

Jej mąż potrząsnął głową.

— Nie.

— Dlaczego?

— To też na nic się nie zda.

— Policja im nie pozwoli...

Usłyszeli ciężkie kroki na drewnianych schodach werandy. Nowo przybyły otrząsnął ziemię z butów, otworzył drzwi, stanął nieruchomo w progu.

— Wejść, Marco.

Miał około pięćdziesiątki i kiedy zdjął słomkowy kape- Q isz z szerokim rondem, odkrył nieskazitelną siwiznę włosów. Miał niebieskie oczy i opaloną cerę. Był ubrany w tali .ie same spodnie jak Tony i taki sam biały podkoszulek.

— Mój brat Eddie, który przyjechał do mnie z Miami. Do Eddiego:.. -

— To Marco Felici.

Nastąpił jakby moment rozejmu. Może burza już minęła? Marco jeszcze niepewnie wyciągnął powalaną ziemią Sól.

— Zje pan z nami obiad? Gdzie moja żona?

— W kuchni z Bessie. Wołała nas zostawić w rodzinnym gronie.

— Pójdę tam.

— Już nie warto. Skończyliśmy. Prawda, Eddie?

Eddie niechętnie potwierdził skinieniem głowy.

.. — Napijesz się wina, Marco?

Tony znowu uśmiechnął się po swojemu. Sam poszedł po trzecią szklankę. Po chwili wahania .wyjął czwartą i na«\*, pełnił też dwie pozostałe, swoją i brata.

— Może byśmy się trącili?

Eddie wydał dziwny, gardłowy odgłos. Nora spojrzała na niego żywo, ale nie zrozumiała i tylko on jeden wiedział, że był to stłumiony szloch.

- Za nasze spotkanie!

Ręka Tony'ego nie drżała. Zachowywał się naprawdę wesoło i swobodnie, jakby życie było przyjemną błahostką. Eddie musiał odwrócić wzrok, żeby nie stracić panowania nad sobą. Marco podejrzewał, że nie wszystko jest w porządku, przyglądał im się z namysłem i podniósł swą szynkę bez miększego przekonania, Ty też, Nora.

— Ja nie piję.

— Proszę, ten jeden raz.

Odwróciła się do męża, żeby sprawdzić, czy mówi poważnie, i zrozumiała, że naprawdę mu na tym zależy.

— Za twoje zdrowie, Eddie.

Eddie chciał zgodnie z rytuałem odpowiedzieć: „Za twoje\*?”. Nie mógł. Uniósł szklankę do ust. Nora, nie odrywając od niego wzroku, umoczyła w winie wargi.

Tylko Tony wychylił swoją do ostatniej kropli i pustą \* odstawił na stół do góry dnem.

Eddie wymamrotał:

— Muszę już iść.

— Tak. Już czas.

Nie śmiał im uścisnąć ręk, szukał koło siebie kapelusza. Miał dziwne uczucie, że już kiedyś tę scenę przeżywał, wszystko było takie samo, nawet brzuch Nory.

Omal nie powiedział: „Zegnajcie\*?”. Przestraszył się tego słowa. A przecież zdawał sobie sprawę, że „do widzenia \* było jeszcze gorsze i mogło zabrzmieć jak pogrożka.

— Do widzenia.

Nu-' miał umilani grozie. Był sy.ezerae wzruszony, o/ul wilgoć |>od powiekami. kiedy szedł w stronę drzwi. Nikł mu nie przeszkodził wyjść. Nio padło zadno słowo. Nic wiedział, o/y pa Ir/.) /a nim, o/v ręka Tony'ego zaciska się na ramieniu Nory. Nio miał odwagi się odwrócić.

Otworzył drzwi i ogarnęło go rozgrzane powietrze. Kierowca, który czekał w cieniu. wrócił za kierownicy. Drzwiczki trzasnęły\* Dostrzegł tylko w oknie kuchni Bossie, która wyjrzała, żeby zobaczyć, jak wyjeżdża, i pokazała mu język.

— El Centro?

— Tak.

— Do hotelu?

Wydało mu się, że słyszy skądś odgłos samochodu, Nie widział nio wśród pól. Część drogi zasłaniał dorn. Chciał zapytać szofera, ale nio starczyło mu odwagi. Nigdy w życiu nie miał takiej pustki w głowic i w całym ciele. Powietrze w taksówce było przegrzane i, ponieważ jechali w słońcu, zaczęło mu szumieć w uszach. W wyschniętych ustach miił metaliczny posmak i nawet kiedy zamykał oczy, tańczyły przed nimi czarne punkciki. Przestraszył się. Znal wypadki udaru słonecznego. Przejeżdżali przez wieś. Minęli skład wyrobów żelaznych.

— Proszę zatrzymać na chwilę...

Musiał napić się świeżej wody. Musiał znaleźć się w cieniu, żeby przyjść do siebie.

— Niedobrze panu?

Właściwie najlepiej by było, żeby zemdłał. I zachorował na parę dni, Nie musiałby myśleć ani decydować.

Sprzedawcy wystarczył jeden rzut oka, żeby zrozumieć,

o co chodzi, i od razu przyniósł mu kartonowy kubek pełen lodowatej wody.

— Niech pan nie pije za szybko, ,luż daję panu krzesło.

Smies/na historia. T«\*ny na pewno oskarżyłby go, Że wł grywa komedii;. I Nora, która podoju» ich rozmowy mio- r/.yłtt go oc/.mii, pociemniałymi z mcnawiści.

— Popro^/.ę o jes/oze jeden kubek.

— Niech pan chwil\*.; odetchnie.

Szofer wszedł za nim i czekał, jak\`złowiek przyzwyczajony do podobnych incydentów'.

Nagło, podnosząc drugi kubek do ust, Kddie poczuł mdłości. Cudom pochylił się na czas. Chlusnął wymiotami fioletowymi od wina między narzędzia ogrodnicze i emaliowane wiadra, bełkocząc z ne/ami pełnymi łez.

— Bardzo^brzepraszam. To idiotycznie...

Dwoj mężczyźni mrugnęli do siebie. Sprzedawca, chcąc mu pomóc, bo się zakrztusił, klepnął go mocno po plecach.

— Zlc pan zrobił pijąc czerwone wino — powiedział sentencjonalnie szofer.

1 Kddie wśród czkawki wyjąkał żałośnie:

Kazano mi...

8

Portier dał mu klucz nic nie mówiąc, jakby go nic widzińł, Chłopiec do windy, podczas jazdy w górę, utkwiał wzrok w klapę marynarki Eddiego, gdzie widniała fioletowa plamo.

Eddie szedł do pokoju z jedną myślą: żeby się rzucik na łóżko. Otwierając drzwi już nie trzymał na wodzy nerwów, przestał kontrolować wyraz twarzy. Kiedy przestą

pił próg, przyszło mu do głowy, że nie przekręcił klucza w zamku.

W tym samym momencie zobaczył obcego mężczyznę i zanim jego mózg zaczął działać, zdrętwiał z przerażenia, poczuł mrowie w krzyżu. Reakcja nastąpiła automatycznie, jak po naciśnięciu kontaktu zapala się światło lub uruchamia silnik. Nie myślał wcale. Po prostu wiedział, że przyszła jego kolej, i zabrakło mu śliny w ustach.

Znał wiele ludzi, którzy w ten sposób skończyli, byli wśród nich jego dawni koledzy. Czasem pił jeszcze z nimi

o dziesiątej wieczór na przykład, a o jedenastej lub o pół-, nocy, po powrocie do domu, zastawali tam dwóch lydzi, którzy na nich czekali i którzy już nie musiki nic mówić.

Czasem zastanawiał się, co człowiek myśli w tym momencie, i potem, nieco później, w samochodzie, który jedzie w stronę pustych terenów lub w kierunku rzeki, kiedy jeszcze prze<sup>o</sup> ostatnie parę minut widzi światła, przechodniów, a nawet czekając na zielony sygnał do Arzega w pobliżu mundur pflicijanta. Trwało to zaledwie parę sekund. Był pewien, że twarz mu nie drgnęła. Ale nie wątpił też, że człowiek w pokoju wszystko to widział: najpierw kiedy otwierał drzwi, pustkę w głowie, obezwładniające zmęczenie, potem elektryczny prąd strachu i teraz wreszcie szybki proces myślenia, przywracający mu równowagę. To nie jest to, czego się przestraszył, bo jego gość jest sam, a na takie wypadki wybierają się zawsze we dwóch i jeszcze trzeci czeka w aucie prze<sup>o</sup> domem.

Poza tym nie był to człowiek tego typu. Musiał być ważną osobą. Obsługa hotelu nie pozwoliłaby być komu wejść do jego pokoju. Nie tylko rozgościł się tu, ale zamówił na górę wodę sodową i lód. Whisky wziął z płaskiej butelki, która napoczęta stała jeszcze na stoliku obok szklanki.

— Nie denerwuj się, synu — powiedział nie wypuszczając z ust grubego cygara, którego zapach zdążył przeniknąć cały pokój.

Miał przeszło sześćdziesiąt lat, może nawet blisko siedemdziesiąt. Dużo w życiu widział, znał się na wszystkim, co trzeba. \*

— Mów do mnie Mikel

Nie należało tego fałszywie rozumieć. Nie było to przyzwolenie na bezceremonialność. Chodziło o pełną szacunku poufałość, jaką w niektórych środowiskach, w niektórych małych miasteczkach otacza się osobistość, która coś znaczy.

Wyglądał jak polityk, senator stanowy, burmistrz lub — jeszcze bardziej — ktoś, kto kręci maszyną wyborczą i mia- nuje zarówno sędziów, jak szeryfów. Mógłby zagrać każdą z tych ról w filmie, zwłaszcza w westernie, wiedział o tym i widać było, że sprawia mu to przyjemność, że umyślnie podkreśla podobieństwo.

— Napijesz się? — zaproponował wskazując płaską butelkę.

— Ja nie piję.

Wzrok Mike'a zatrzymał się na plamie z wina. Nie raczył nawet uśmiechnąć się, czy zakpić. Wystarczyło leciutkie drgnienie żrenic.

— Siadaj.

Miał ubranie nie z płótna, ale z białego szantungu i ręcznie malowany krawat, który musiał kosztować trzydzieści, czterdzieści dolarów. Siedział w kapeluszu — na pewno, rzadko go zdejmował, był to stetson o szerskim rondzie, jasnoszary, nieskazitelnie czysty.

Fotel, który wskazał Eddiemu, stał kolo telefonu. Leniwym gestem pokazał aparat

Eddie o nio nic pytał, podniósł słuchawkę, zamówił Miami. Czekał zo słuchawka pr/.y uchu, podczas gdy Mike nadal palił swoje cygaro» pr/.yglądając mu się obojętnie.

— Halo, Phil.

- Kti> mówi?

Eddie.

— Tak.

— Ja... Powiedziano mi...

— Chwileczkę, zamknę drzwi.

To mc była prawda. Phil za długo się nic odzywał. Albo porozumiewał się z kimś, albo zrobił tak naumyślnie, żeby speszyc Fddicgo.

— Halo, halo!

— Dobrze, Słucham.

Znowu milczenie. Eddie nie chciał mówić pierwszy.

— Jest tam Mike?

— Tak, w pokoju.

— Dobrze.

Cisza. Eddie przysiągłby, że słyszy szum morza, ale nio było to przeciez możliwe.

— - Widziałoś się t Ginom?

Zdziwił się, niepewny, czy dobrze dosłyszał imię. Może Phil myli jego brr.ci. Nie spodziewał się, że o tym będzie mowa. Nie miał czasu na zastanawianie się. Skłamał, nie nivśląc o konsekwencjach.

Nie, dlaczego?

— Bo nie zjawił się w San Piogo.

„ Ach! ‘

— Powinien tam być już wczoraj. \*

Wiedział, że Mike go obserwuje i że musi panować nad swoim wyrazem twarzy. Jego mózg pracował szybko, ob-

rn \inii, tak jak pi/odtcm, kiedy myślał o pr/i ja/d/.cc sa moehod'-n». Obraz był zresztą podobny, tylko osoby różne. Gdyby namawiał z nim nic Phil, ale na przykład Sid Kubik. nic pr/.ys/loby mu to chyba do'głowy.

Piiiil był pobily. Eddie wiedział, z.«? Phil go nie lubi. nic może lubić żadnego z. braci Rico.

Po co dzwonił do San Diego, jeśli chod/.ilo o Tony'ego, a nic o Giną? Gino jest zabójcy. San Diego leży blisko El Centro, dwie godziny autem, mniej niż godzinę samolotem.

Tiulowi udało Ź»ię już doprowadzić do spotkania dwóch braci.

— Halo! -- wołał Eddie do aparatu.

— - Słuchaj no, czy przypadkiem Gino nic był u ciebie w Santa Clara?

Nie mógł sam sobie przeczyć.

-- Nie.

To było groźne. Nigdy jeszcze tego nie zrobił. Sprzeciwiało się to wszystkim jego zasadom. Gdyby dowiedzieli się, że skłamał, mieliby odtąd rację traktując go jako niegodnego zaufania,

— Widziano go w Nowym Orleanie.

— Ach!

— Wysiadał z samochodu.

Dlaczego ciągle mówił o Ginie, a nie o Ttmym? Musiało ' .się za tym coś kryć. Phil nio robił nic bez powodu, Eddie wiedział, że za wszelką cenę musi odgadnąć, o co tamtemu chodzi.

— Podobno widziano go na pokładzie statku, który od-<sup>1</sup> płynął do Ameryki Południowej.

Był pewien, że to prawda.

— Dlaczego miałyby to zrobić? — zdobył Się jednak na protest.

- Nie wiem. To twoja rodzina. Znasz go lepiej niż ja.
- Nie mam o niczym pojęcia. Nic mi nie mówił.
- Widziałeś go?
- Chciałem powiedzieć, że mi nie napisał.
- Dostałeś od niego list?
- Nie.
- Co u Tony'ego?

Nareszcie odgadł cel rozmowy na temat Gina. Chciano go przestraszyć. Phil nic nie wymyślił, ale zρέcznie wykorzystał sytuację; w ten sposób przygotowywał grunt do sprawy Tony'ego.

Nie mógł znowu skłamać. Zresztą był tu Mike, który wiedział i dalej palił w milczeniu cygaro.

— Rozmawiałem z nim. — Ciągnął dalej skwapliwie: — Widziałem też jego żonę. Spodziewa się; dziecka. Wytłumaczyłem mojemu bratu...

Phil przerwał mu w pól słowa:

- Mike dostał instrukcje. Rozumiesz? Powie ci, co trzeba zrobić.
- Tak.
- Sid się zgadza. Jest tutaj. Chcesz, żeby ci to potwierdził?

Powtórzył: — Tak.

Po niewczasie uświadomił sobie, że Phil może to uznać za dowód nieufności.

— Oddaję mu słuchawkę.

Usłyszał szept, potem głos Kubika.

- Mike La Motte wszystkim się zajmie. Nie próbuj go wykiwać. Jest tam u ciebie?
- Tak.
- Daj mi go.
- Kubik chce z panem mówić. ,

— Podaj aparal. Na co czekasz? Czy sznur jest za krótki?

Sznur nie był za krótki.

— Mało, jak się masz, bracie?

Mówiono głównie z drugiej strony i Eddie .słyszał daleki głos Kubika, ale nie odróżniał słów. Mike potwierdzał monosylabami lub krótkimi zdaniami.

Eddie już teraz orientował się, z kim ma do czynienia.

Nie mylił się odgadując, że jest to ważna osobistość. Nie wiedział, co robi (»TUZ, bo nic był ostatnio tematem roz--\* mów. Ale kiedyś jego nazwisko figurowało na pierwszych stronach gazet.

Michel La Motte, zwany Mikiem, podobno pochodzenia kanadyjskiego, należał w epoce prohibicji, do największych baronów piwnych na zachodnim wybrzeżu.

Organizacja jeszcze nie istniała. Sojusze zawiązywały się i rozwiązywały. Przywódcy najczęściej bili się między sobą o strefę działania, czasem o ładunek alkoholu, o ciężarówkę.

Ponieważ nic było organizacji, nie było też mowy o hierarchii, o specjalnościach. Miało się^poplecznikó\*v wśród policji i polityków. Walka toczyła się głównie między klanami, między szefami.

La Motte, który zaczynał w jednej z dzielnie San Francisco, nie tylko podporządkował sobie całą Kalifornię, ale rozszerzył działalność na niektóre stany środkowego za- chodu,

Kiedy bracia Rico wałęsali się jeszcze po ulicach Broo- . .>' klynu ja|p młodzi chłopcy, szeptano już, że Mike własnymi rękami załatwił ponad dwudziestu konkurentów. Sprzątnął też paru innych, którzy ośmielili się stanąć okj- niem.

W końcu został aresztowany, ale nie można było wytoczyć mu żadnej sprawy o morderstwo. Skazano go za przestępstwo skarbowe i wsadzono na kilka lat nie do San Quentin, jak zwykłego więźnia, ale do Alcatraz, fortecy zastrzeżonej dla najniebezpieczniejszych zbrodniarzy, zbudowanej na skale w przystani San Francisco.

Eddie potem już nigdy o nim nie słyszał. Gdyby zapytano go, co się z nim stało, odpowiedziałby, że Mike chyba nie żyje, bo był już niemłody w czasach dzieciństwa Ed- \*diego.

Patrzył na niego teraz z respektem, podziwem nawet, i już nie wydawało mu się śmieszne, że stylizuje się na sędziego czy polityka z westernu. Gdyby wstał, okazałoby się na pewno że jest bardzo wysoki i trzyma się prosto. Ciągle jeszcze był barczysty i postawny. Kiedy uniósł na chwilę 'kapelus, żeby się podrapać w głowę, Eddie dostrzegł gęste, gładkie włosy, których jedwabista biel od- ciniła się od cery koloru cegły.

— Tak, tak... Tak też sobie pomyślałem. Nie obawiaj się. Zrobi ?;ę, co potrzeba. Telefonowałem do Los Angeles... Nie udało mi się złapać przez telefon tego, tak, wiesz kogo, ale teraz już jest uprzedzony... Spodziewam się ich obu przed wieczorem... #

Miał zachrypnięty głos człowieka, który od lat dużo pije i pali. Pod tym względem też przypominał polityków. Na ulicy wszyscy na pewno mu się kłaniali, ludzie podchodzili uściskując mu dłoń, dumni z zażyłości z Wielkim Mi- kic-m. ■ f

Po procesie skonfiskowano mu wiele milionów, ale najprawdopodobniej nie stracił wszystkiego i po wyjściu z Alcatraz nie został bez środków do życia.

— Zgoda, Sid... Wygląda na rozsądnego człowieka... Nie sądzę... Spyta go...

I do Eddiego:

--- Chcę coś powiedzieć Sidowi?

Nie w tych warunkach! Co mógł mu powiedzieć tak na chybcika? Jasne było, że wszystko zostało zdecydowane poza nim.

— Nie. W porządku. Zadzwoń po wszy.^im.

Wyciągnął słuchawkę do Eddiego, żeby ją sam odłożył,

upił tyk whisky i zachował szklankę w dłoni.

— Jadłeś cc4?

— Nic od rana.

— Jesteś głodny?

— Nie.

— Złe robisz, że nie chcesz się napić.

Może. Może whisky zatęrzyłoby niesmak po czerwonym winie, które zwymiotował.

Nalał sobie szklankę.

— Sid, to jest postać! — westchnął Mike. — Coś tam miał kiedyś z twoim ojcem?

— Ojca zabiła kula przeznaczona dla Kubika.

— O, właśnie! Domyśliłem się, że cię bardzo lubi. Jest ci tu dosyć ciepło?

Za ciepło.

— Ciepłej niż na Florydzie?

— To inny rodzaj upału.

— Nigdy tam nie byłem.

Pociągnął cygaro. Rzadko mówił dwa zdania po kolei. Czy dlatego, że powoli myślał, czy może miał kłopoty z wysławianiem się? Miał miękką, zamazaną twarz, wargi pulchne jak u dziecka, worki pod zawsze załzawionymi oczami, które były co prawda bladoniebieskie, ale ciągle

jeszcze tak żywe, że trudno było wpatrywać się w nie dłużej.

— Mam sześćdziesiąt osiem lat, synu. Mogę się pochwalić, że miałem urozmaicone życie, i wcale nie uważam, że już się skończyło. No i co? Możesz mi wierzyć lub nie, ale nigdy nie miałem ochoty wyjechać dalej na południe poza Teksas i Oklahomę, dalej na północ niż Utah i Idaho; nie znam ani Nowego Jorku, ani Chicago, ani Saint Louis, ani Nowego Orleanu. A propos Nowego Orleanu: twój brat Gino głupio zrobił nawiewając.

Strząsnął popiół ze spodni.

— Podaj mi butelkę.

Trunek w szklance za bardzo wyjaśniał i Mike chciał dolać whisky.

— Już nie pamiętam, ilu znałem takich, co uważali, że są cwani, i popełnili ten sam błąd. Jak myślisz, co się z nim stanie? Tam, w Brazylii czy w Argentynie lub może Wenezueli, spróbuje nawiązać kontakt z ludźmi. W pojedynkę trudno cokolwiek zdziałać. A oni już wiedzą, jak stąd wyjechać, i nie będą mieli ochoty narazić się tutejszym szefom.

Miał słuszną intuicję. Eddie.; dobrze to wiedział. Był zaskoczony postępkami Gina. Najbardziej wzburzyło go to, że rozumiał mgliście jego racje. Mógłby tak samo postąpić. Czy nie po to właśnie, żeby go do tego nakłonić, brat pojawił się w Santa Clara? I tam doszedł do wniosku, że nie warto mu tego proponować.

Eddiemu było wstyd. Usiłował przypomnieć sobie ostatnie spojrzenie Gina.

— A jeśli uprze się, żeby pracować na własną rękę, złapie go policja albo nadzieje się na kogoś, kto każe mu zwi-

----- ^

nać interes. T co wtedy? Stoczy się wcześniej czy później i za sześć miesięcy będzie zapitym włóczęgą.

— Gino nie pije.

— Będzie pił.

Dłaczego Mike nie mówi z nim o instrukcjach, jakie dostał w sprawie Tony'ego?

Zgasił w popielniczce cygaro, wyjął drugie z kieszeni, starannie odwinął celofanowe opakowanie i odciął koniuszek ładnym przyrządem ze srebra.

Wyglądało na to, że rozgościł się w tym pokoju na dobre.

— Mówiłem ci, że nigdy nie wyjeżdżałem z Zachodu. Zwracał się do niego protekcjonalnie jak do żółtodzioba.

Czy nie wiedział, że na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej Eddie jest prawie równie ważny jak on sam w tych stronach?

— I co ciekawe — znam osobiście wszystkich ludzi, którzy coś znaczą; i tych z Nowego Jorku, i skąd tylko chcesz. Bo, widzisz, wszyscy, jak nie dziś, to jutro, muszą zjawie się w Kalifornii.

— Nie jest pan głodny?

— Nigdy nie jadam w południe. Jeśli ty chcesz jeść...

— Nie.

— Więc siadaj i zapal papierosa. Mamy czas.

Eddiemu przemknęło przez głowę, że Tony skorzysta

z tej zwłoki i ucieknie razem z Norą. Oczywiście bzdura. Jasne, że taki człowiek jak Mike przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Jego ludzie na pewno pilnują domu Feliciego.

Mike jakby śledził tok jego myśli.

— Twój brat jest uzbrojony?

Udał, że nie wie, o którego chodzi.



— Gino?

— Mówię o małym.

Zabolało go to. Matka też mówiła czasem „Mały”.

— Nie wiem. Chyba tak.

— Nieważne zresztą.

W pokoju było chłodno dzięki klimatyzacji, ale miało się świadomość upału. Czuło się, jak przytłacza miasto, pola, pustynię. Światło było barwy roztopionego złota. Samochody na ulicy zdawały się z trudem przebijać blok rozgrzanego powietrza.

— Która godzina? f

— Pół do trzeciej. /

— Zadzwoń tu do mnie.

Istotnie, nie upłynęły nawet dwie minuty i rozległ się dzwonek telefonu. Eddie bez pytania podniósł słuchawkę i podał ją Mike'owi.

— Tak... tak... dobra! Nie! Nic się nie zmieniło... Czekam tu, tak... Zgoda... Czekam na telefon zaraz jak przyjadą...

Westchnął i przechylił się do tyłu.

— Nie zdziw się, jeśli się trochę zdrzemnę. — Dodał: — Mam na dole dwóch swoich ludzi.

Nie była to pogrożka. Informacja tylko. Udzielił jej Ed- diemu, żeby., mu oddać przysługę, żeby go ustrzec od fałszywego kroku.

Eddie nadal nie śmiał go wypytywać. Czuł się trochę tak, jakby był w niełasce, i to zasłużonej. Patrzył, jak Mike powoli zapada w sen, i nie bez szacunku wyjął mu z palców cygareto, które już miało spaść na podłogę. Trwało to jeszcze prawie dwie godziny. Nie ruszał się, siedział na miejscu, czasem tylko sięgał po butelkę z whisky. Z obawy, żeby nie hałasować, zrezygnował z dolewania wody, zwilżał tylko wargi wprost z butelki

Ani razu nie pomyślał o Alicji, o dzieciach, o swoim pięknym domu w Santa Clara. Wszystko to było za odległe, jakby w ogóle nie istniało.

Jeśli chwilami myślał o przeszłości, to wspominał czasy dawniejsze, trudne dni w Brooklynie, pierwsze kontakty z organizacją, kiedy tak się starał dobrze się sprawować. Przez całe życie na tym mu głównie zależało.

I do dzisiaj, do momentu, w którym skłamał na temat Gina, twierdząc, że go nie widział\*, nie miał sobie nic do wyrzucenia.

Kiedy Sid Kubik wezwał go do Miami, posłuchał natychmiast. Pojechał do White Cloud i rozmawiał ze starym Malaksem najlepiej jak umiał. Pojechał też do Brooklynu. Kiedy matka nieświadomie skierowała go na trop Tony'ego, bez wahania wsiadł do samolotu.

Czy Mike o tym wie? Co Kubik mu o nim powiedział? Mike nie traktował go szorstko, przeciwnie. Ale nie rozmawiał z nim też jak z kimś ważnym. Może przypuszczał, że Eddie nie stoi wyżej w hierarchii niż Gino czy Tony.

Mieli swój plan. Wszystko już zostało zdecydowane. W tym planie on, Eddie, miał wyznaczoną rolę. Bo inaczej taki Mike nie zawracałby sobie głowy, żeby czekać, aż on przyjdzie, a potem siedzieć tu bez końca.

Nie pytał go o nic, tylko o broń. Tony na pewno był uzbrojony. Nawet powiedział coś, co by na to wskazywało. Ale Eddie nie pamiętał już co.-Próbował sobie przypomnieć. Cała scena rozegrała się tak niedawno, a w jego pamięci już były dziury, słyszał niektóre zdania, widział twarze, zwłaszcza wyraz twarzy Nory, ale nie byłby zdolny odtworzyć sensownie przebiegu zdarzeń.

Niektóre szczegóły miały teraz większe znaczenie ms. słowa brata: lok włosów na jego czole, muskularne ręce

i ramiona, których opaleniznę podkreślała biel podkoszulka. I jeszcze mała dziewczynka, wychylona z okna kuchni, która pokazała mu język.

Liczył minuty, niecierpliwie czekał, żeby Mike się obudził, spoglądał na telefon w nadziei, że zacznie dzwonić. W końcu pomieszały mu się liczby, widział pokój jak przez mgłę, potem nie widział już nic, tylko żółte światło, które drażniło mu powieki, aż do momentu, kiedy wstał z krzesła i zobaczył przed sobą mężczyznę w szarym kapeluszu, przyglądającego mu się sennie.

— Spałem? . -

— Tak by się wydawało.

— Długo?

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że jest wpół do szóstej.

— A przecież poprzedniej nocy wyspałeś się, synu, na wszystkie cztery boki.

Wiedział, że Eddie poszedł spać natychmiast po przy- jeździe z lotniska! Już wtedy śledzili go jego ludzie. A po- tem nie stracili go z oczu ani na chwilę.

— Jeszcze nie jesteś głodny?

— Nie.

Płaska butelka była już pusta.

— Można by poprosić o coś do picia. ^

E^die zadzwonił po kelnera. Kelner nie zdziwił się widząc ich o tej porze razem w pokoju.

— Butelkę wódki.

Kelner z miejsca wymienił markę, patrząc nie na Eddie- go, ale na Mike'a, jakby znał jego gusty.

— Tak, synu, przynieś to.

Odwołał go, kiedy kelner był już przy drzwiach.

— Cygara też.

Nareszcie zdjął kapelusz i położył go na łóżku.

m

— Dziwne, że jeszcze ich nie ma. Musieli mieć kraksę na pustyni.

Eddie nie miał odwagi spytać, o kim mówi. Wolał zresztą nie wiedzieć dokładnie.

— Dziś rano wysłałem szeryfa w góry, o osiemdziesiąt mil stąd, i wróci najwcześniej jutro.

Eddie i tym razem nie spytał, jak to urządził. Mike na pewno mówił mu to wszystko nie bez powodu. Może po prostu chciał mu dać do zrozumienia, że klamkla zapadła i Tony nie ma na co liczyć.

Eddie myślał o tym przed zaśnięciem, zastanawiał się, ^ czy Nora — widział w tej roli raczej Norę niż Tony'ego — nic wpadnie na pomysł, żeby zwrócić się do szeryfa z prośbą o opiekę.

— Jeden z dwóch, zastępców szeryfa leży w łóżku, obłożnie chory, z czterdziestoma stopniami gorączki. Drugi, Hooley, to mój człowiek, ja go kazałem mianować. Jeśli przestrzega moich instrukcji, a na pewno ich przestrzega, ma teraz uszkodzony telefon i do jutra mu go nie naprawią.

Czy Eddie naprawdę wywołał na usta słaby uśmiech . uznania?

— Znowu do mnie zatelefonują.

Trwało to trochę dłużej tym razem, ale w końcu rozległ się dzwonek.

— Już są? Dobra! Zaprowadźcie ich, wiesz gdzie, i pilnujcie, żeby nie włączyli się po ulicach. Odstawili wóz? Zmienili tablicę? Momencik...

Kelner przyniósł whisky i cygara. Mike poczekał, aż wyjdzie.

— I na razie nic więcej. Dajcie im jeść i niech grają w karty, jeśli mają ochotę. Żadnego alkoholu. Jasne?

Ciszo. W milczeniu wysłuchał odpowiedzi.

— Dobrze! Powiedz Gonzalesowi, żeby przyszedł tu do mnie. Tak, tutaj. Do pokoju.

Centrum operacji musiało być niedaleko. Eddie przypuszczał nawet, że w samym hotelu. Kto wie, czy Mike nie jest jego właścicielem?

Po niespełna dziesięciu minutach zapukano do drzwi.

— Wejź.

Był to Meksykanin około trzydziestki, w żółtych płóciennych spodniach i białej koszuli.

— Eddie Rico...

Meksykanin skłonił się lekko.

— Gonzales, który jest czymś w rodzaju mojego sekretarza.

Gonzales uśmiechnął się.

— Siadaj. Co tam się dzieje?

— Gospodarz Marco wrócił z pola i odbyła się narada, która trwała blisko dwie godziny.

— A potem?

— Wyjechał swoim samochodem i zabrał małą. Zatrzymał się najpierw w domu po drugiej stronie Wsi, u niejakiego Keefera, i zostawił tam dziecko.

Mike słuchał kiwając głową, jakby to wszystko z góry przewidział.

— Potem pojechał do miasta, wszedł do sklepu z przyborami sportowymi i kupił dwa pudełka naboju.

— Jakiego typu?

— Kaliber 22.

— Nie wstąpił do kancelarii szeryfa?

— Nie. farycei wprost do Aconda. Okienne są zamknięte, brama też. Zaraz, opuściłem jeden szczegół...

— Jaki?

— Wymienił żarówki w lampach koło domu na mocniejsze.

Mike wzruszył ramionami.

— Jak się sprawuje Sidney Diamond?

— Dobrze. Chyba trzeźwy.

— Kto z nim jest? Paco?

— Nie. Jakiś nowy, którego nie znam.

Sidney Diamond był zabójcą, Eddie to wiedział. Szczeniak nie min! jeszcze dwudziestu dwóch lat, ale już o nim mówiono. To on, jak się okazuje, został sprowadzony z Los Angeles. I to jemu niG wolno było dać się upić. Rozumiał każde posunięcie. Wszystko było zgodne z normalną rutyną. Od dawna opracowano precyzyjnie akcje tego typu i przebiegały według obrządku prawie niezmiennego. Lepiej było z innego terenu ściągać wykonawców, nieznanymi w tej okolicy. Zanim Sidneya Diamonda wysłano do Los Angeles, pracował w Kansas City i w Illinois.

Przygotowania odbywały się na oczach Eddiego i czasem budziła się w nim ochota, żeby otworzyć usta i krzyknąć: „Przecież to mój brat!”\*

Ale nie krzychał. Odkąd wszedł do pokoju, był jak ogłuszony. Podejrzewał, że Mike umyślnie załatwia wszystko w jego obecności, zwyczajnie, spokojnie, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie.

Czy nie należał do organizacji? Działano przecież zgodnie z regułą.

Zakpiono z niego. Nie, raczej i z nim postąpiono zgodnie z regułą. Posłużono się nim, żeby znaleźć Tony’ego. Ani przez chwilę nie łudził się, szukał brata najlepiej, jak umiał, stosował się do zasad gry. W głębi duszy cały czas wiedział, że ani Tony nie zgodzi się na wyjazd, ani nie pozwoli mu wyjechać.

Oino też to zrozumiał. I Gino przedostał się przez granicę. To właśnie najbardziej zdumiewało Eddiego, budziło w nim poczucie winy.

— O której to ma być godzinie?

— O której ludzie tu idą spać?

— Bardzo wcześnie. Wstają ze wschodem słońca.

— Dajmy na to o jedenastej?

— O, to wystarczy.

— Zaprowadź ludzi na drogę o dwieście metrów od domu. Ty, ma się rozumieć, weźmiesz inny samochód.

— Tak.

— Pojedziesz za nimi. Wybrałeś miejsce?

— Wszystko przygotowane.

— O jedenastej.

— Dobrze.

— Idź do nich. Nie zapomnij, że Sidneyowi nie wolno pić. Schodząc zamów dla nas obiad. Dla mnie zimne mięso, sałatę i owoce.

Spojrzał pytająco na Eddiego.

— To samo. Wszystko jedno.

O dziewiątej wieczorem Eddie nie wiedział jeszcze, jaką rolę mu wyznaczono, i nie miał odwagi o to zapytać. Mikę kazał sobie przynieść lokalną gazetę i czytał paląc cygaro. Pił dużo, robił się coraz czerwieńszy na twarzy, wzrok miał mętny, ale nie stracił jasności umysłu. W pewnej chwili podniósł oczy znad gazety.

— Kocha swoją żonę, tak?

— Tak.

— Ładna?-

— Też go chyba kocha.

— Nie o to pytałem. Przystojna?

— Tak.

— Ma niedługo rodzić?

— Za dwa, trzy miesiące, nie wiem dokładnie.

Już od dłuższego czasu na ulicy paliły się latarnie. Z baru było słychać dźwięki muzyki mechanicznej i czasem przez zamknięte okna docierały do nich podniesione głosy.

— Która godzina?

— Dziesiąta.

Potem zrobiło się piętnaście po dziesiątej, wpół do jedenastej i Eddie zaciskał zęby, żeby nie zacząć krzyczeć.

— Uprzedź mnie, kiedy będzie równo za dziesięć jedenasta.

Najbardziej bał się, żeby mu nie kazano tam iść. Czy gdyby Gino nie wsiadł na statek, Phil posłałby właśnie jego?

— Która godzina, synu?

— Za dwadzieścia.

— Już pojechali.

Bez niego. Nic nie rozumiał. Przecie<sup>^</sup> nie trzymano go tu bez ważnej przyczyny, musiał im być do czegoś potrzebny.

— Dobrze ci zrobi, jak się napijesz.

— Piłem już za dużo.

— Wszystko jedno, napij się.

Nie miał już własnej woli. Posłuchał niepewny, czy znowu nie zwymiotuje, jak w południe.

— Masz numer telefonu Feliciego?

— Jest w książce telefonicznej. Sprawdziłem dziś rano.

— Znajdź go.

Szukał mając wrażenie, że widzi swoje czynności z zewnątrz, jak we śnie. Świat przestał być rzeczywisty. Nie było na nim Alicji ani Krystyny, ani Amelii, ani Babe, nie

zostało nic, prócz nie kończącego się tunelu, w którym posuwał się po omacku.

— .Już?

— Jeszcze minuta.

— Poproś o połączenie.

— Co mam powiedzieć?

— Powiesz Tony'emu, żeby wyszedł na drogę do chłopców. Sam. Zobaczysz zaparkowany samochód. Zdawało mu się, że już nigdy nie będzie mógł oddychać, tak dojmujący stał się ucisk w piersiach.

- Jeśli odmówi? — udało mu się wykrztusić.

— Powiedziałeś, że kocha swoją żonę.

— Tak.

— Powtórz mu to. Zrozumie.

Mike siedział sobie spokojnie w fotelu, z cygarem w jednej ręce, gazetą w drugiej, jeszcze bardziej niż zwykle podobny do sędziego z filmu. Eddie--prawie nie zdawał sobie sprawy, że podniósł słuchawkę i wymamrotał właściwy numer telefonu.

Po drugiej stronie odezwał się nie znany głos.

— Tu 1662. Kto przy aparacie?

I Eddie usłyszał, jak mówi ze krokiem utkwionym w mężczyznę na fotelu:

— Mam coś ważnego do zakomunikowania Tony'emu. Jestem jego bratem.

Zapadło milczenie. Marco Feljci wahał się jakby. Eddie odgadł z odgłosów, że Tony, domyślając się, o co chodzi? U wyjął mu z ręki słuchawkę.

— Słucham — powiedział sucho.

Eddie nic sobie nie przygotował. Jego umysł nie uczestniczył w tym, co robi.

— Czekają na ciebie.

— Gdzie?

— O dwieście metrów na drodze. Zaparkowany samochód.

Nie musiał właściwie już nic dodawać.

— Jeśli nic pójdę, dobiorą się do Nory, tak?

Milczał.

— Odpowiedz.

— Tak.

— Dobrze.

— Pójdziesz?

Znowu milczenie. Mike siedział bez ruchu nie spuszcza- 4 jąc z niego spojrzenia. Eddie powtórzył:

— Pójdziesz?

— Nie bój się.

Jeszcze jedina krótka przerwa.

— Żegnaj)

Sam też chciał coś powiedzieć, nie wiedział co. Spojrzał na swoją dłoń, zaciśniętą jeszcze na zamkniętej słuchawce.

Zaciągając się cygarem Mike mruknął z westchnieniem ulgi:

— Wiedziałem, że tak będzie.

9

To było wszystko. Nie żądano od niego już nic więcej. Już nigdy nie zlecono mu nic trudnego.

I ta noc, jak wszystkie noce od stworzenia świata, skończyła się o wschodzie słońca. Zobaczył, jak wschodzi, nie nad Kalifornią, ale z bardzo wysoka, nad pustynią Arizony, z samolotu, na który zawieszono go o trzeciej nad ra-

nem. I ktoś, tak jak Bob w Tucson, wsunął mu do kieszeni płaską butelkę.

Nie dotknął jej. Sidney Diamond i jego kumpel wjeżdżali na przedmieścia Los Angeles w momencie, kiedy samolot lądował po raz pierwszy.

Gdzieś po drodze Eddie pomylił maszyny. Znalazł się

o drugiej po południu na trzeciorzędym lotnisku, na którym musiał czekać do wieczora, bo rozpuściła się burza. Dopiero nazajutrz z Missisipi zatelefonował do Santa Clara.

— To ty?

Słuchał głosu Alicji, ale nie budziło to w nim żadnego oddźwięku.

— Tak. Wszystko tam u was w porządku?

Słowa same się nasuwały, utarte zdania, wymawiane bez udziału myśli.

— Tak. A u ciebie?

— Jak dzieci?

— Amelię zatrzymałam w domu. Lekarz uważa, że ma początki odry. Wieczorem będzie wiadomo. Jeśli tak, to Krystyna też nie będzie mogła pójść do szkoły.\*

— Angelo dzwonił do ciebie?

— Nie. Przejedźżałam dziś rano koło sklepu. Wszystko normalnie. Jest tam nowy subiekt.

— Wiem.

— Telefonowano z Flamingo. Powiedziałam, że już niedługo wrócisz. Słusznie?

— Tak.

— Żle cię słyszę. Jakbyś był bardzo daleko.

— Tak.

Powiedział, że tak? Nie myślał o odległości między Florydą i Missisipi. Zresztą w ogóle nie myślał.

— Kiedy będziesz?

— Nie wiem. Zdaje się, że zaraz mam samolot.

— Nie popatrzyłeś do rozkładu?

— Jeszcze nie.

— Nie jesteś chory?

■— Nie.

— Zmęczony?

— Tak.

— Czy ukrywasz coś przede mną?

— Zmęczony jestem.

— Przecież możesz odłożyć odlot do jutra i porządnie wypocząć przez noc?

— Może tak zrobię.

Zrobił tak. Z trudem dostał mały pokój bez klimatyzacji, bo w mieście odbywał się jakiś kongres. W korytarzach spotykało się ludzi ze znaczkami, w opaskach na ramieniu, z nazwiskami wypisanymi na wizytówkach przypiętych do klapy.

Hotel był hałaśliwy, ale jak w El Centro, zapadł w ciężki męczący sen, obudził się dwa, trzy razy, przerażony zapachem własnego potu, który wydał mu się chorobliwy.

Na pewno wątroba. Pił tam za dużo. Odwykł od tego. Będzie musiał zamówić wizytę u Billa Spanglera, swojego lekarza, natychmiast po powrocie do Sarita Clara.

Poprzednio, kiedy siedział w słońcu na lotnisku, dwukrotnie zaczęły mu migać czarne punkciki przed oczami. To też było symptomatyczne.

Obudziwszy się w obcym pokoju, poczuł nagle ochotę do płaczu. Nigdy jeszcze nie był tak śmiertelnie zmęczony, tak zmęczony, że gdyby znalazł się na ulicy, położyłby się wszystko jedno gdzie, na chodniku, pod nogami przechodniów.

O

Potrzebna mu była odrobina współczucia, ktoś, kto przemawiałby do niego kojąco, kładąc mu chłodną dłoń na czole. Nikogo takiego nie było. Nigdy .nie było i nie będzie. Jutro czy pojutrze, kiedy odważy się już wrócić do domu, Alicja poradzi mu czule, żeby wypoczął-.

Bo Alicja jest czuła. Ale go nie zna. Nic jej o sobie nie mówił. Wierzy, że Eddie jest silny, że nikogo nie potrzebuje.

Nie zrozumiał sensu odwiedzin Gina. Jeszcze teraz nie był całkiem pewien, czy rozumie, ale niejasno odgadywał, że brat przyjechał, żeby mu dać znak\*.

Dlaczego nie mówił wyraźnie? Nie miał do niego zaufania?

Żaden z braci mu nie ufał. Właściwie powinien im wytłumaczyć...

Ale jak? I co wytłumaczyć?

Wziął prysznic i stwierdził, że przytył ostatnio. Miał piersi jak dwunastoletnia'dziewczynka.

Ogolił się. Jak ostatniego ranka w Santa Clara, zadrasnął brodawkę. Cale szczęście, że zawsze zabiera ze sobą kawałek ałunu.

Musiał prawie godzinę czekać na ubranie, które oddał do prasowania. Wyrzucił do kosza na papiery nie napoczętą butelkę whisky.

Wszystko«4,edno, co sobie inni pomyślą. Sid Kubik wie, że postąpił tak, jak powinien był postąpić. Kiedy Mike zadzwonił do niego o wpół do .pierwszej, że jest już po wszystkim, Sid osobiście podszedł do aparatu i powiedział dos-ownie.

— Powiedz Eddiemu, że to dobrze.

Mike tego nie wymyślił.

— Powiedz Eddiemu, że to dobrze.

Jeśli Phil był w pokoju, na pewno wydał po swojemu usta.

— Powiedz Eddiemu...

Umyślnie nie zawiadomił zony, o której przyjedzie. Wziął taksówkę i z lotniska kazał się najpierw zawieźć do sklepu.

Angcio wyszedł mu na spotkanie.

— W porządku, szefie?

— W porządku, Angelo.

Wszystko dookoła było jeszcze szare, bezbarwne, bez smaku, bez życia prawie.

Może to się kiedyś odmieni? Już słówko rzucone przez Angela poprawiło mu samopoczucie.

— Szefie...

Tak dużo, tak bardzo dużo pracował, żeby ze sklepiku w Brooklynie- dojść tu, gdzie jest teraz!